

Georges Simenon

Maigret i złodziej

(Le voleur de Maigret)

Przełożyła Małgorzata Szymańska

I

- Przepraszam pana...

- Nic nie szkodzi...

Traciła równowagę, potrącając go chudym ramieniem i rozgniatając na jego udzie siatkę z zakupami już co najmniej po raz trzeci od rogu bulwaru Richard-Lonoir.

Przepraszała od niechcienia, ani zmieszana, ani zmartwiona, po czym znów patrzyła przed siebie, ze spokojnym i zdecydowanym wyrazem twarzy.

Maigret nie miał do niej pretensji. Można by nawet sądzić, że bawi go to potrącanie. Tego ranka był w dobrym nastroju.

Miał szczęście, że trafił na autobus z platformą. Już samo to go cieszyło. Wozy te spotykało się coraz rzadziej, gdyż pomału wycofywano je z ruchu. Niebawem będzie musiał opróżnić fajkę, zanim zamknie się w jednym z tych wielkich, nowoczesnych pojazdów, gdzie człowiek czuje się jak więzień.

Autobusy z platformą istniały już prawie czterdzieści lat temu, gdy przyjechał do Paryża. Na początku nigdy nie nużyło go przemierzanie Wielkich Bulwarów na drodze Madeleine - Bastylia. Stanowiły jedno z jego pierwszych odkryć. I tarasy. Te nie nużyły go nigdy. Stąd, przy szklance piwa, obserwował ciągle zmieniający się uliczny spektakl.

Tego pierwszego roku miał jeszcze inny powód do zachwyty. Od końca lutego można było wychodzić bez płaszcza. Nie zawsze, ale czasem. A wzdłuż niektórych ulic, zwłaszcza bulwaru Saint-Germain, zaczynały już pękać paki.

Wspomnienia napływały falami, gdyż tego roku wiosna przyszła znów wcześniej i rano wyszedł z domu bez płaszcza.

Czuł się lekki jak rześkie powietrze. Sklepy, artykuły spożywcze, damskie sukienki były bajecznie kolorowe.

Nie rozmyślał; przez głowę przebiegały mu jedynie strzępy skojarzeń, nie stanowiące całości. O dziesiątej żona pójdzie na trzecią już lekcję jazdy.

Uważał, że to zabawne i nieoczekiwane. Nie umiałby powiedzieć, jak się na to zdecydowali. Gdy Maigret był młodym funkcjonariuszem, ponoszenie kosztów utrzymania samochodu nie wchodziło w grę. W tamtych czasach było to nie do pomyślenia. Potem nigdy nie widział takiej konieczności. Za późno, żeby nauczyć się prowadzić. Zbyt wiele spraw miał na głowie. Nie zauważałby czerwonych świateł albo używał hamulca jako pedału gazu.

A jednak przyjemnie byłoby pojechać w niedzielę samochodem do Meung-sur-Loire, gdzie mieli domek...

Zdecydowali się niedawno, nagle. Żona broniła się ze śmiechem:

- Chyba nie myślisz o tym poważnie... Nauka jazdy w moim wieku...

- Z pewnością będziesz świetnie prowadziła...

Brała już trzecią lekcję, poruszona jak młoda dziewczyna przygotowująca się do matury.

- Jak ci poszło?

- Nauczyciel jest bardzo cierpliwy...

Jego sąsiadka z autobusu zapewne nie prowadziła. Dlaczego pojechała na zakupy w okolice bulwaru Woltera, mieszkając w innej dzielnicy? Takie małe tajemnice, których czepiamy się myślą. Nosila kapelusz, co - zwłaszcza rano - stawało się rzadkością. W torbie na zakupy miała kurczaka, masło, jajka, pory, seler...

Coś twardszego pod spodem, co wciskało mu się w udo przy każdym wstrząsie, to pewnie ziemniaki...

Po co jechać autobusem, daleko od domu, żeby kupić artykuły pierwszej potrzeby, które można znaleźć w każdej dzielnicy? Może kiedyś mieszkała przy bulwarze Woltera i pozostała wierna tamtejszym dostawcom?

Niski młodzieniec po prawej palił za krótką, źle wyważoną fajkę o zbyt dużej główce. Zmuszało go to do ciągłego zaciskania szczęk. Młodzi ludzie prawie zawsze wybierają za krótkie i za duże fajki.

Na platformie był tłok. Kobieta z siatką powinna była usiąść wewnątrz. No proszę! Witlinki w sklepie rybnym na ulicy Temple. Od dawna już ich nie jadł. Dlaczego witlinki również kojarzyły mu się z wiosną?

Wszystko było wiosenne i radosne, tak jak jego nastrój. A jeżeli kobieta z kurczakiem patrzyła nieruchomo przed siebie, pochłonięta sprawami, które umykały zwykłym śmiertelnikom, to trudno.

- Przepraszam...

- Nic nie szkodzi...

Nie miał odwagi, żeby jej powiedzieć: „Zamiast naprzykrzać się wszystkim z tymi swoimi zakupami, niechże pójdzie pani usiąść do środka...”

Tę samą myśl odczytywał w niebieskich oczach grubego mężczyzny wciśniętego między niego i konduktora, który także wykazywał zrozumienie sytuacji, wzruszając niepostrzeżenie ramionami. Taki rodzaj męskiej solidarności. To było zabawne.

Lady, zwłaszcza sklepów warzywnych, ustawione były wprost na chodnikach. Biało-zielony autobus przedzierał się przez tłum gospodyń domowych, maszynistek, urzędników zmierzających pospiesznie do biur. Życie było piękne.

Jeszcze jeden wstrząs. Ciągłe ta torba i to coś twardego, co miała na dnie, ziemniaki czy cokolwiek innego. Cofając się, on z kolei potracił kogoś z tyłu.

- Przepraszam... - wyszeptał, odwrócił się i zauważył dosyć młodą męską twarz, na której wyczytał wzburzenie, którego nie rozumiał.

Mężczyzna nie mógł mieć nawet dwudziestu pięciu lat, jego ciemne włosy były w nieładzie, a policzki tego dnia nie widziały żyletki. Wyglądał na kogoś, kto nie spał i miał za sobą ciężkie przeżycia.

Przecisnął się w kierunku stopni i wyskoczył z jadącego autobusu. Znajdowali się właśnie na rogu ulicy Rambuteau, niedaleko Hal, z których dochodziły silne zapachy. Szedł szybko. Co chwila odwracał się, jakby w obawie, aż zniknął skręcając w ulicę Blancs-Manteaux.

Nagle, bez szczególnego powodu, Maigret sięgnął do tylnej kieszeni spodni, w której zwykle nosił portfel.

I teraz to on o mało nie rzucił się, żeby wyskoczyć z autobusu. Portfel zniknął.

Poczerwieniał, ale zdołał zachować spokój. Jedyne gruby mężczyzna o niebieskich oczach zdawał się rozumieć, co zaszło.

Maigret uśmiechnął się ironicznie nie tyle dlatego, że właśnie on padł ofiarą kieszonkowca, ale dlatego, że nie był w stanie go ścigać.

Właśnie z powodu wiosny, i tego szampańskiego powietrza, którym oddychał.

Miał jeszcze jeden zwyczaj, manię z czasów dzieciństwa - były nią buty. Co roku, w pierwszych dniach wiosny, kupował sobie nowe, jak najlżejsze obuwie. Tak też stało się poprzedniego dnia.

A tego ranka włożył je po raz pierwszy. Uwierały go. Nawet przejście bulwaru Richard-Lenoir było męką i z ulgą dotarł na przystanek autobusowy.

Nie zdołałby pobiec za złodziejem, który miał zresztą dość czasu, aby zniknąć w wąskich uliczkach Marais.

- Przepraszam pana...

Znowu! Wciąż ona z tą swoją siatką! Tym razem o mało nie powiedział: „A gdyby tak w końcu odczepiła się pani od nas, razem z tymi kartoflami?”

Ale poprzestał na skinieniu głową i uśmiechu.

* * *

W swoim gabinecie rozpoznał światło charakterystyczne dla pierwszych ciepłych dni. Ponad Sekwaną unosił się rodzaj pary, która nie miała gęstości mgły, miliardy jasnych i żywych cząsteczek typowych dla Paryża.

- Wszystko w porządku, szefie? Coś się przydarzyło?

Janvier miał na sobie jasny garnitur, w którym Maigret nigdy go jeszcze nie widział. On także świętował wiosnę z lekkim wyprzedzeniem, gdyż był dopiero piętnasty marca.

- Nic. A właściwie tak. Dałem się okraść.

- Zegarek?

- Portfel.
- Na ulicy?
- Na platformie autobusu.
- Czy miał pan przy sobie dużo pieniędzy?
- Około pięćdziesięciu franków. Rzadko noszę więcej w kieszeni.
- Dokumenty?
- Nie tylko dokumenty, ale i moja odznaka.

Słynna odznaka Policji Kryminalnej, zmora wszystkich komisarzy. W zasadzie powinni mieć ją zawsze przy sobie, aby móc udowodnić, że są oficerami Policji Kryminalnej.

Piękna, srebrna odznaka, a dokładniej z posrebrzanego brązu. Przy ciągłym noszeniu cienka warstwa srebra ścierała się, przybierając szybko kolor czerwonego metalu.

Po jednej stronie Marianna w czapce frygijskiej, litery R.F. i słowo Policja obramowane czerwoną emalią.

Na rewersie herb Paryża, numer oraz nazwisko właściciela wygrawerowane małymi literami.

Odznaka Maigret nosiła numer 0004, gdyż numer 1. był zarezerwowany dla prefekta, 2. dla dyrektora Policji Kryminalnej, a 3. - z niejasnego powodu - dla szefa służb wywiadowczych.

Wielu policjantów, wbrew regulaminowi, wahało się, czy nosić swoją odznakę w kieszeni, gdyż w razie jej zagubienia groziło zawieszenie poborów na miesiąc.

- Widział pan złodzieja?
- Bardzo dobrze. Młody facet, chudy, zmęczony, z oczyma i cerą kogoś, kto nie spał.
- Nie rozpoznał go pan?

Maigret znał wszystkich złodziei kieszonkowych z czasów, gdy pracował w sekcji publicznej. Nie tylko tych z Paryża, ale także i tych z Hiszpanii i Londynu, którzy przyjeżdżali do Francji z okazji targów lub dużych, popularnych imprez.

Jest to dosyć zamknięta specjalizacja, z własną hierarchią. Asy fatygują się jedynie wtedy, gdy warto, nie wahając się na przykład przemierzyć Atlantyku na wystawę światową albo na igrzyska olimpijskie.

Maigret stracił ich trochę z oczu. Szukał w pamięci. Nie brał tego zdarzenia tak tragicznie. Lekkość poranka w dalszym ciągu wpływała na jego nastrój i, paradoksalnie, miał pretensję do kobiety z zakupami.

- Gdyby mnie przez cały czas nie popychała... Na platformy w autobusach nie powinno się wpuszczać kobiet... Zwłaszcza że tej nie usprawiedliwiało palenie...

Był bardziej zirytowany niż rozgniewany.

- Pójdzie pan rzucić okiem do archiwum?
- Właśnie miałem zamiar to zrobić.

Spędził tam prawie godzinę, studiując zdjęcia *en face* i z profilu większości złodziei

kieszonkowych. Niektórych aresztował dwadzieścia pięć lat temu. Potem przewinęli się jeszcze dziesięć czy piętnaście razy przez jego gabinet, stając się prawie kumplami.

- To znowu ty?

- Trzeba jakoś żyć. Pan też jest tu ciągle, szefie. To już ładny szmat czasu, odkąd się znamy, prawda?

Niektórzy byli dobrze ubrani, a inni, zwykle łapserdaki, grasowali po bazarze z żelastwem, pchlim targu w Saint-Ouen lub w korytarzach metra. Żaden nie był podobny do młodzieńca z autobusu. Maigret wiedział z góry, że jego poszukiwania spełzną na niczym.

Zawodowiec nie ma takiego zmęczonego, niespokojnego wyglądu. Pracuje tylko wtedy, gdy jest pewien, że nie zaczną mu drzeć ręce. Zresztą wszyscy znali twarz i sylwetkę Maigreta, chociażby dlatego, że czytali gazety.

Wrócił do swojego gabinetu i napotkawszy znowu Janviera, wzruszył jedynie ramionami.

- Nie znalazł pan?

- Przysięgłbym, że to amator. Zastanawiam się nawet, czy minutę wcześniej wiedział, co zrobi. Musiał zapewne zobaczyć mój wystający portfel. Żona bez przerwy mi powtarza, że nie powinienem nosić go w tej kieszeni. Gdy autobus szarpnął i przez te cholerne ziemniaki o mało nie straciłem równowagi, wpadł na pomysł...

Zmienił ton.

- Co nowego dziś rano?

- Lucas ma grypę. W bistro przy Porte d'Italie wykończyli Senegalczyka...

- Nożem?

- Oczywiście. Nikt nie jest w stanie opisać napastnika. Wszedł około pierwszej nad ranem, gdy właściciel miał już zamykać. Zrobił kilka kroków w stronę Senegalczyka, który pił strzemiennego, i uderzył tak szybko, że...

Banalne. W końcu ktoś go wyda, może za miesiąc, a może za dwa lata. Maigret ruszył w stronę gabinetu dyrektora na codzienną naradę i postarał się nie wspominać tam o swojej przygodzie.

Dzień zapowiadał się spokojnie. Papierzyska. Urzędowe dokumenty do podpisu. Rutyna.

Wrócił na obiad i obserwował żonę, która nic nie mówiła o lekcji jazdy. Czowała się trochę tak, jakby wróciła do szkoły. Odczuwała przyjemność i nawet pewną dumę, ale też i zażenowanie.

- Nie wjechałaś na chodnik?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Nabawisz mnie kompleksów...

- Ależ nie. Będziesz doskonałym kierowcą i z niecierpliwością czekam, kiedy mnie zabierzesz nad Loarę...

- Nie wcześniej niż za miesiąc.

- Instruktor tak ci powiedział?

- Egzaminatorzy robią się coraz bardziej wymagający i lepiej nie dać się oblać za pierwszym razem. Dzisiaj pojechalśmy na zewnętrzne bulwary. Nigdy nie przypuszczałabym, że jest tam tak duży ruch, ani że ludzie tak szybko jeżdżą. Ma się wrażenie, że...

No proszę! Jedli kurczaka, zapewne takiego jak u kobiety z autobusu.

- O czym myślisz?

- O moim złodzieju.

- Aresztowałeś złodzieja?

- Nie aresztowałem, ale uwolnił mnie od portfela.

- Z odznaką?

Też pomyślała o tym od razu. Poważny uszczerbek w budżecie. Co prawda, dostanie nową, na której nie będzie już widać miedzi.

- Widziałeś go?

- Tak jak ciebie.

- Stary?

- Młody. Amator. Wyglądał na...

Mimowolnie Maigret coraz częściej o nim myślał. Twarz, zamiast zacierać się w pamięci, stawała się wyraźniejsza. Przypominał sobie szczegóły, o których nawet nie wiedział, że je zapamiętał, tak jak fakt, że nieznajomy miał gęste brwi tworzące nad oczami całkiem poziomą kreskę.

- Rozpoznałbyś go?

Zastanawiał się nad tym ponad dziesięć razy tego popołudnia, podnosząc głowę i spoglądając w okno, jak gdyby dręczył go jakiś problem. W tym zdarzeniu, w tej twarzy i w tej ucieczce było coś nienaturalnego, ale jeszcze nie wiedział co.

Za każdym razem zdawało mu się, że zaraz przypomni sobie jeszcze jakiś drobiazg, że zacznie rozumieć, po czym wracał do swych zajęć.

- Dobranoc, chłopcy...

Wyszedł za pięć szósta, podczas gdy w sąsiednim pokoju pozostało z pół tuzina inspektorów.

- Dobranoc, szefie...

Poszli z żoną do kina. W szufladzie znalazł stary, brązowy portfel, za szeroki do tylnej kieszeni spodni. Musiał więc go włożyć do marynarki.

- Gdybyś go nosił w tej kieszeni...

Wrócili pod ramię, jak zwykle. Powietrze wciąż było ciepłe. Nawet zapach benzyny nie wydawał się taki nieprzyjemny tego wieczoru. Stanowił też część nadchodzącej wiosny, podobnie jak zapach na wpół roztopionego asfaltu jest częścią lata.

Rano znów świeciło słońce i śniadanie zjadł przy otwartym oknie.

- Zabawne - zauważył. - Są kobiety, które przemierzają pół Paryża autobusem, żeby zrobić

zakupy...

- Może z powodu „Teleksu konsumentów”... Spojrzał na żonę marszcząc brwi.

- Co wieczór telewizja podaje, gdzie można dostać różne towary po korzystnych cenach...

Nie pomyślał o tym. Jakie to proste. Stracił czas na zagadkę, którą żona rozwiązała w jednej chwili.

- Dziękuję ci...

- Czy to ci pomoże?

- Przeszanę się nad tym zastanawiać.

Chwytnjąc kapelusz dodał filozoficznie:

- Nie myśli się o tym, o czym się chce...

Na biurku czekała na niego korespondencja, z wielką kopertą na wierzchu stosu, na której patykowatymi literami było napisane jego nazwisko, tytuł i adres Quai des Orfèvres.

Zrozumiał, zanim ją otworzył. Zwracano mu portfel. Kilka chwil później odkrył, że niczego w nim nie brakuje: ani odznaki, ani dokumentów, ani nawet pięćdziesięciu franków.

Poza tym nic. Żadnej wiadomości. Żadnego wyjaśnienia.

Poczuł się tym urażony.

* * *

Było trochę po jedenastej, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

- Ktoś nalega, żeby porozmawiać z panem osobiście, ale odmawia podania nazwiska, panie komisarzu. Podobno spodziewa się pan tego telefonu i byłby pan wściekły, gdybym nie połączył. Co mam robić?

- Połącz...

I pocierając zapałkę, aby zapalić wygasłą fajkę, powiedział:

- Halo! Słucham?

Odpowiedziała mu cisza i Maigret mógłby sądzić, że połączenie zostało przerwane, gdyby po drugiej stronie nie słyszał czyjś oddechu.

- Halo... - powtórzył. Znów cisza, aż w końcu: - To ja...

Męski głos, nawet dosyć niski, ale akcent mógłby być akcentem dziecka, które waha się, czy przyznać do psoty.

- Mój portfel?

- Tak.

- Nie wiedział pan, kim jestem?

- Oczywiście. Inaczej...

- Dlaczego pan do mnie dzwoni?

- Bo muszę się z panem zobaczyć...
- Proszę przyjść do biura.
- Nie. Nie chcę iść na Quai des Orfèvres.
- Znają tam pana?
- Moja noga jeszcze nigdy tam nie powstała.
- Czego się pan boi?

W anonimowym głosie czuło się strach.

- W charakterze prywatnym...
- Co w charakterze prywatnym?

- Chciałem się z panem spotkać. To rozwiązanie przyszło mi do głowy, gdy przeczytałem pańskie nazwisko na odznace.

- Dlaczego ukradł mi pan portfel?
- Bo potrzebowałem pieniędzy.
- A teraz?

- Rozmyśliłem się. Nie jestem jeszcze tego pewien. Byłoby lepiej, gdyby przyszedł pan możliwie jak najszybciej, zanim zmienię zdanie...

Było coś sztucznego w tej rozmowie i w tym głosie, a jednak Maigret podchodził do sprawy z powagą.

- Gdzie pan jest?
- Przyjdzie pan?
- Tak.
- Sam?
- Zależy panu, żebym był sam?
- Nasza rozmowa musi pozostać między nami. Czy może mi pan to obiecać?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, co mi pan powie.

Znowu cisza, jakby głębsza niż na początku.

- Chciałbym, żeby dał mi pan szansę. Proszę zauważyć, że to ja do pana dzwonię. Pan mnie nie zna. Nie ma pan żadnej możliwości, żeby mnie odnaleźć. Jeśli pan nie przyjdzie, nigdy się pan nie dowie, kim jestem. To zasługuje przecież z pana strony na...

Nie znajdował odpowiedniego słowa.

- Obietnicę - podsunął mu Maigret.

- Proszę zaczekać. Za chwilę, gdy już z panem porozmawiam, zostawi mi pan pięć minut, abym mógł zniknąć, jeśli pana o to poproszę...

- Nie mogę podejmować zobowiązań, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Jestem oficerem

Policji Kryminalnej...

- Jeżeli mi pan uwierzy, wszystko potoczy się samo. Jeśli nie albo jeśli będzie pan miał wątpliwości, to proszę tylko spojrzeć w inną stronę, żeby miał czas wyjść. Potem będzie pan mógł zaalarmować swoich ludzi...

- Gdzie pan jest?

- Zgadza się pan?

- Jestem skłonny spotkać się z panem.

- Przyjmując moje warunki?

- Będę sam.

- Ale niczego pan nie obiecuje?

- Nie.

Nie mógł postąpić inaczej i z pewnym niepokojem czekał na reakcję rozmówcy, który znajdował się w kabinie telefonicznej albo w kawiarni, gdyż w tle słychać było jakieś odgłosy.

- Decyduje się pan? - spytał zniecierpliwiony Maigret.

- W mojej sytuacji!... To, co piszą o panu gazety, wzbudzałyby raczej zaufanie. Czy te opowieści są prawdziwe?

- Jakie opowieści?

- Że jest pan zdolny zrozumieć sprawy, których na ogół policja i sędziowie nie rozumieją, i że nawet w niektórych przypadkach...

- Co nawet?

- Może niepotrzebnie tyle mówię. Sam już nie wiem. Czy zdarzyło się panu przymknąć na coś oczy?

Maigret wolał nie odpowiadać.

- Gdzie pan jest?

- Daleko od siedziby Policji Kryminalnej. Jeżeli powiem panu od razu, będzie pan miał czas, żeby kazać mnie zatrzymać inspektorom z dzielnicy. Jeden szybki telefon, a mój rysopis przecież pan ma...

- Skąd pan wie, że pana widziałem?

- Odwróciłem się. Nasze spojrzenia się spotkały. Dobrze pan o tym wie. Bardzo się bałem.

- Z powodu portfela?

- Nie tylko. Proszę posłuchać. Niech pana zawiozą do baru „Metro”, na rogu bulwaru Grenelle i ulicy La-Motte-Picquet. Zajmie to panu mniej więcej pół godziny. Zawołam pana, nie będę daleko i natychmiast dołączę.

Maigret otworzył usta, ale jego rozmówca już odłożył słuchawkę. Komisarz był tym równie zaintrygowany, jak zirytowany, ponieważ po raz pierwszy jakiś nieznajomy rozporządzał nim tak bezceremonialnie, żeby nie powiedzieć cynicznie.

A jednak nie potrafił mieć o to pretensji. Podczas tej luźnej rozmowy wyczuwał niepokój, chęć doprowadzenia do zadowalającego rozwiązania, potrzebę znalezienia się twarzą w twarz z komisarzem, który w oczach nieznanego jawił się jako jedyny możliwy wybawca.

Przecież ukradł mu portfel, nie wiedząc, kim jest!

- Janvier! Masz wóz na dole? Musisz mnie zawieźć do dzielnicy Grenelle.

Janvier spojrzał zdziwiony, gdyż żadna z bieżących spraw nie łączyła się z tą dzielnicą.

- Prywatne spotkanie z facetem, który zwinął mi portfel.

- Odnalazł go pan?

- Portfel tak, w porannej poczcie.

- A odznaka? Byłbym zdziwiony, bo to coś takiego, co każdy chciałby zachować na pamiątkę.

- Była tam odznaka, dokumenty i pieniądze...

- Czy chodziło o żart?

- Nie. Przeciwnie. Mam wrażenie, że to coś bardzo poważnego. Złodziej właśnie dzwonił, żeby mi oznajmić, że na mnie czeka.

- Czy mam panu towarzyszyć?

- Do bulwaru Grenelle. Potem znikniesz, gdyż on pragnie zobaczyć się tylko ze mną.

Jechali wzdłuż brzegu, aż do mostu Bir-Hakeim, i milczący Maigret ograniczał się do spoglądania na płynącą Sekwanę. Wszędzie trwały prace, wznosiły się przeszkody i rusztowania, tak jak w roku jego przyjazdu do Paryża. W sumie wszystko zaczynało się na nowo co dziesięć czy piętnaście lat. Zawsze wtedy, gdy Paryż czuł, że się dusi.

- Gdzie mam pana wysadzić?

- Tutaj.

Znajdowali się na rogu bulwaru Grenelle i ulicy Świętego Karola.

- Czy mam poczekać?

- Zaczekaj pół godziny. Jeśli nie będzie mnie z powrotem, wróć do biura albo idź na obiad.

Janvier też był zaintrygowany i ciekawym wzrokiem śledził sylwetkę oddalającego się komisarza.

Słońce świeciło z całej mocy. Ale podmuchy wiatru były raz ciepłe, a raz chłodniejsze, jak gdyby niecałe powietrze miało dosyć czasu, żeby nabrać wiosennej temperatury.

Mała dziewczynka sprzedawała fiolki przed jedną z restauracji. Maigret zauważył z oddali narożny bar, nad którym wznosił się napis „Metro”, zapalający się z pewnością wieczorem. Było to miejsce nijakie, bez wyrazu, jeden z licznych barów, do których wstępuje się, żeby kupić papierosy, wypić szklaneczkę przy kontuarze albo usiąść w oczekiwaniu na spotkanie.

Ogarnął spojrzeniem pomieszczenie zawierające około dwudziestu stolików z obu stron baru, z których większość nie była zajęta.

Oczywiście wczorajszego złodzieja nie zobaczył, więc poszedł usiąść w głębi, obok okna. Zamówił kufel beczkowego piwa.

Mimowolnie pilnował drzwi i ludzi, którzy się do nich zbliżali, popychali je i podchodzili do kasy, za którą na półkach piętrzyły się papierosy.

Właśnie zaczynał się zastanawiać, czy nie okazał się naiwny, gdy rozpoznał na chodniku znajomą sylwetkę, a potem twarz. Mężczyzna nie patrzył w jego stronę, rzucił się prosto do miedzianego baru, o który oparł się łokciami i zamówił:

- Jeden rum...

Był podniecony. Bez ustanku niespokojnie poruszał rękami. Nie śmiał się odwrócić i niecierpliwie czekał, żeby go obsłużono, jakby pilnie potrzebował alkoholu.

Chwytnąjąc kieliszek, dał znak kelnerowi, żeby nie odstawiał butelki na miejsce.

- To samo...

Dopiero teraz odwrócił się do Maigreta. Wiedział już przed wejściem, gdzie usiadł komisarz. Musiał go śledzić z zewnątrz albo przez okno pobliskiego domu.

Wyglądał jakby przepraszał, że nie może postąpić inaczej, ale zaraz podejdzie. Drżącymi wciąż rękami odliczył drobne monety i położył je na kontuarze.

Wreszcie podszedł, chwycił krzesło i opadł na nie.

- Ma pan papierosy?

- Nie. Palę tylko...

- Fajkę, wiem. Już nie mam papierosów ani pieniędzy, żeby je kupić.

- Kelner! Paczkę... Co pan woli?

- Gauloises.

- Paczkę gauloisesów i kieliszek rumu.

- Nie chcę rumu. Zbiera mi się na wymioty...

- Piwo?

- Nie wiem. Nic rano nie jadłem ani...

- Kanapkę?

Na kontuarze znajdowało się kilka pełnych tac.

- Nie od razu. Ścisza mnie w piersiach. Pan nie może zrozumieć...

Był dość dobrze ubrany - w szare flanelowe spodnie i sportową marynarkę w szkocką kratę. Jak wielu młodych, nie nosił krawata, lecz sweter z golfem.

- Nie wiem, czy jest pan naprawdę taki, jak się o panu...

Nie patrzył na Maigreta, tylko co chwila rzucał mu szybkie spojrzenia, a potem znowu wlepił wzrok w podłogę. Śledzenie bezustannego ruchu jego długich i szczupłych palców było męczące.

- Nie zdziwił się pan, dostając z powrotem portfel?

- Po trzydziestu latach w policji kryminalnej tak łatwo się nie dziwimy.

- I że znalazł pan w nim pieniądze?

- Bardzo ich pan potrzebował, prawda?

- Tak.

- Ile zostało panu w kieszeni?

- Dziesięć franków...

- Gdzie spał pan ostatniej nocy?

- Nie kładłem się. Nie jadłem również. Piłem za te dziesięć franków. Widział pan przecież, jak wydaję resztę bilonu. Nawet nie miałem za co się upić...

- Jednak mieszka pan w Paryżu - zauważył Maigret.

- Skąd pan to wie?

- I nawet w tej dzielnicy.

Nie mieli bezpośrednich sąsiadów i poprzestawali na mówieniu półgłosem. Słysząc było, jak drzwi wejściowe ciągle otwierają się i zamykają. Proszono prawie zawsze to samo - o tytoń lub zapalki.

- Jednak nie wrócił pan do siebie...

Mężczyzna zamilkł na chwilę, tak jak przy telefonie. Był blady i wyczerpany. Wyczuwało się, że robi beznadziejny wysiłek, żeby zareagować i pełen podejrzliwości próbuje przewidzieć pułapki, które można było na niego zastawić.

- Tak właśnie myślałem... - wymamrotał w końcu.

- Co pan myślał?

- Że pan zgadnie... że odgadnie pan mniej lub bardziej prawidłowo... i że jak raz wpadnę w tryby...

- Proszę dalej...

Nagle rozgniewał się i podniósł głos, zapominając, że obaj znajdują się w miejscu publicznym.

- I że jak już raz wpadnę w tryby, to będę skończony!

Spojrzał na drzwi, które właśnie się otworzyły, i komisarz przez chwilę pomyślał, że znów się wymknie. Zapewne odczuwał taką pokusę. W jego ciemnych źrenicach pojawił się przelotny błysk. Potem wyciągnął rękę po szklankę piwa, którą opróżnił jednym haustem, wpatrując się ponad nią w swojego rozmówcę, jakby chciał go ocenić.

- Teraz lepiej?

- Jeszcze nie wiem.

- Wróćmy do portfela.

- Dlaczego?

- Ponieważ to zdecydowało, że pan do mnie zadzwonił.

- I tak nie było tego dosyć.
- Nie było dosyć pieniędzy? Na co?
- Żeby zwać... Żeby wyjechać byle gdzie, do Belgii albo do Hiszpanii...

Po czym, na nowo nieufny, spytał:

- Przyszedł pan sam?
- Nie umiem prowadzić. Przywiózł mnie jeden z moich inspektorów i czeka na rogu ulicy Świętego Karola.

Mężczyzna podniósł gwałtownie głowę.

- Ustalił pan moją tożsamość?
- Nie. Nie mamy pańskiego zdjęcia w naszych aktach.
- Przyznaje pan, że go szukał?
- Oczywiście.
- Dlaczego?
- Z powodu mojego portfela, a zwłaszcza odznaki.
- Dlaczego zatrzymał się pan właśnie na rogu ulicy Świętego Karola?
- Bo to o dwa kroki stąd i przejeżdżaliśmy tamtędy.
- Nie dostał pan raportu?
- Na jaki temat?
- Nic się nie wydarzyło na ulicy Świętego Karola?

Maigret z trudem śledził kolejne zmiany wyrazu twarzy młodego człowieka. Rzadko widział kogoś tak niespokojnego, tak umęczonego, czepiającego się uparcie, Bóg raczy wiedzieć jakiej, nadziei.

Bał się! To było oczywiste! Ale czego?

- Komisariat pana nie zaalarmował?
- Nie.
- Przysięga pan?
- Przysięgam tylko przed ławą przysięgłych.

Wydawało się, że jego spojrzenie chciało przeniknąć komisarza na wskroś.

- Jak pan sądzi, dlaczego prosiłem pana o przyjście?
- Ponieważ potrzebuje mnie pan.
- Z jakiego powodu?
- Gdyż jest pan w opałach i nie wie, jak się z nich wydostać.
- To nieprawda.

Głos był stanowczy. Nieznajomy podniósł głowę, jakby mu ulżyło.

- To nie ja wpakowałem się w tarapaty i nie zawaham się tego przysiąc przed sądem przysięgłych. Jestem niewinny, słyszy pan?

- Nie tak głośno.

Rzucił okiem wokół siebie. Młoda kobieta przesunęła szminką po wargach, spoglądając w lusterko, potem odwróciła się w stronę ulicy z nadzieją, że pojawi się ten, na którego czekała. Dwaj mężczyźni w średnim wieku, nachyleni nad stolikiem, wymieniali uwagi prawie szeptem i po kilku słowach, które Maigret raczej odgadł, niż usłyszał, zrozumiał, że chodzi o wyścigi.

- Proszę mi powiedzieć, kim pan jest i dlaczego twierdzi pan, że jest niewinny...

- Nie tutaj. Za chwilę.

- Gdzie?

- U mnie. Czy mogę zamówić jeszcze jedno piwo? Będę w stanie zaraz panu zwrócić, chyba że...

- Chyba że co?

- Że jej torebka... No więc... Piwo?

- Kelner! Dwa piwa... I proszę mi powiedzieć, ile jestem winien?

Młody człowiek wytarł czoło dosyć jeszcze czystą chusteczką.

- Dwadzieścia cztery lata? - spytał komisarz.

- Dwadzieścia pięć.

- Od dawna jest pan w Paryżu?

- Pięć lat.

- Żonaty?

Unikał pytań zbyt osobistych, zbyt natarczywych.

- Byłem... Dlaczego pan o to pyta?

- Nie nosi pan obrączki.

- Dlatego, że gdy się żeniłem, nie byłem dosyć bogaty. Zapalił drugiego papierosa.

- Właściwie wszystkie środki ostrożności, które przedsięwziąłem, nic nie dadzą.

- Jakie środki?

- Dotyczące pana. Cokolwiek zrobię, ma mnie pan w ręku. Nawet jeśli spróbowałbym wymknąć się panu, teraz, gdy mi się pan przyjrzał i gdy pan wie, że jestem z tej dzielnicy...

Uśmiechnął się gorzko z ironią, którą kierował do siebie samego.

- Zawsze chcę przedobrzyć. Czy pański inspektor, ten z samochodu, jest ciągle na ulicy Świętego Karola?

Maigret spojrzał na zegar elektryczny. Wskazywał za trzy dwunastą.

- Albo przed chwilą odjechał, albo odjedzie, ponieważ prosiłem, żeby poczekał na mnie pół godziny, a potem, jeżeli nie wrócę, poszedł na obiad.

- To już nieważne, prawda?

Maigret nic nie odpowiedział i gdy jego towarzysz wstał, poszedł za nim. Skierowali się obaj w stronę ulicy Świętego Karola, na rogu której wznosił się duży nowoczesny budynek. Przeszli

na drugą stronę przejściem dla pieszych i zagłębili się w ulicę.

Mężczyzna zatrzymał się na środku chodnika. Otwarta brama umożliwiła wstęp na podwórko wielkiej kamienicy przy bulwarze Grenelle. Pod jednym ze sklepień widać było motorowery i wózki dziecięce.

- To tutaj pan mieszka?

- Proszę posłuchać, komisarzu...

Był bledszy i jeszcze bardziej zdenerwowany niż poprzednio.

- Czy kiedyś już zaufał pan komuś, gdy wszystkie dowody przemawiały przeciwko niemu?

- Zdarzało się.

- Co pan o mnie myśli?

- Że jest pan dosyć skomplikowany i że brak mi zbyt wielu elementów, żeby pana osądzić.

- Czy będzie mnie pan osądzał?

- Nie to chciałem powiedzieć. Powiedzmy, żeby wyrobić sobie opinię.

- Czy wyglądam na kanalię?

- Na pewno nie.

- Na człowieka zdolnego do... Nie... Chodźmy... lepiej skończyć z tym natychmiast.

Wciągnął Maigreta na podwórko i zaprowadził w kierunku lewego skrzydła budynków, gdzie na parterze widać było szereg drzwi.

- Nazywają to kawalerkami... - wymamrotał nieznajomy.

Wyciągnął klucz z kieszeni.

- Zmusi mnie pan, żebym wszedł pierwszy... Zrobię to, bez względu na to, ile miałoby mnie to kosztować... Jeżeli zemdleję...

Pchnął dębowe lakierowane drzwi. Prowadziły do maleńkiego przedpokoju. Otwarte po prawej ukazywały łazienkę z tak zwaną krótką, siedzącą wanną. Panował tam bałagan. Po posadzce wałały się ręczniki.

- Proszę otworzyć, dobrze?

Młody mężczyzna wskazał Maigretowi drugie, zamknięte drzwi, które znajdowały się przed nimi. Komisarz zrobił to, o co go proszono.

Mężczyzna nie uciekł. Chociaż, mimo otwartego okna, odór był odrażający.

Obok tapczanu, zamienianego na noc w łóżko, rozciągnięte na marokańskim dywanie w różnokolorowe wzory, leżało ciało kobiety, a wokół niego krążyły niebieskie, brzęczące muchy.

II

- Ma pan telefon?

Było to pytanie, które Maigret zadał odruchowo, gdyż widział aparat na środku pokoju, mniej więcej o metr od ciała.

- Błagam pana - wyszeptał jego towarzysz, opierając się o futrynę drzwi.

Wyczuwało się, że jest u kresu sił. Komisarz też nie miał nic przeciw opuszczeniu pokoju, gdzie odór śmierci był nie do zniesienia.

Popchnął młodzieńca na zewnątrz i zamknął drzwi. Chwilę trwało, zanim wrócił do rzeczywistości.

Dzieci wracały ze szkoły, wymachując teczkami. Większość okien w wielkim budynku była otwarta. Słysząc było równocześnie kilka stacji radiowych, głosy, muzykę, kobiety wołające mężów lub synów. Na pierwszym piętrze kanarek podskakiwał w swojej klatce, gdzie indziej suszyła się bielizna.

- Będzie pan wymiotował?

Potrząsnął głową na znak, że nie, ale nie śmiał jeszcze otworzyć ust. Rękoma trzymał się za klatkę piersiową. Twarz miał bladą. Sądząc po niemal konwulsyjnych ruchach palców i drzeniu warg, był na skraju załamania nerwowego.

- Proszę się nie spieszyć... Niech pan nic nie mówi... Czy chce pan, żebyśmy poszli napić się czegoś do kawiarni na rogu?...

Ten sam gest odmowy.

- To pańska żona, prawda?

Jego oczy mówiły, że tak. Otworzył w końcu usta, aby przełknąć łyk powietrza, co udało mu się dopiero po dłuższej chwili, jak gdyby nerwy miał zawiązane na supeł.

- Czy był pan tu, gdy to się stało?

- Nie...

Zdołał jednak wyszeptać tę sylabę.

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Przedwczoraj... W środę...

- Rano? Wieczorem?

- Późnym wieczorem...

Szli jak automaty przez wielkie nasłonecznione podwórkę, wokół którego we wszystkich pomieszczeniach budynku ludzie wiedli swoje codzienne życie. Większość właśnie siadała do stołu albo miała niebawem to uczynić. Słysząc było strzępy zdań:

- Umyłeś ręce?

- Uwaga... To bardzo gorące...

W wiosennym powietrzu można było czasem rozróżnić kuchenne zapachy, zwłaszcza zapach gotowanych porów.

- Czy wie pan, w jaki sposób zmarła?

Młody mężczyzna uczynił tylko gest potwierdzenia, ponieważ znowu brakowało mu tchu.

- Gdy wróciłem...

- Chwileczkę... Opuścił pan mieszkanie w środę późnym wieczorem... Niech się pan nie zatrzymuje... Stanie w miejscu nic panu nie da... Około której?

- Jedenastej...

- Czy żona żyła? Zostawił ją pan w szlafroku?

- Jeszcze się nie rozebrała...

- Pracuje pan w nocy?

- Musiałem gdzieś zdobyć pieniądze... Koniecznie ich potrzebowaliśmy...

Szli obaj, zerkając odruchowo na otwarte okna, skąd ludzie spoglądali na nich, zastanawiając się zapewne, dlaczego tak spacerują w tę i z powrotem.

- Dokąd pan szedł szukać pieniędzy?

- Do przyjaciół... Wszędzie po trochu...

- Nie dostał pan?

- Nie...

- Czy jacyś przyjaciele widzieli pana?

- W Vieux-Pressoir, tak... Zostało mi ze trzydzieści franków w kieszeni... Wstępowałem do rozmaitych miejsc, w których miałem szansę spotkać kolegów...

- Pieszko?

- Samochodem... Zostawiłem go dopiero na rogu ulic Franciszka I i Marbeuf, gdy zabrakło mi benzyny...

- Co robił pan potem?

- Spacerowałem...

Maigret miał przed sobą wyczerpanego, nadwrażliwego chłopca, z nerwami na wierzchu.

- Jak długo nic pan nie jadł?

- Wczoraj zjadłem dwa jajka na twardo w pewnym bistro...

- Chodźmy...

- Nie jestem głodny... Jeżeli ma pan zamiar zabrać mnie na obiad, to z góry pana uprzedzam, że...

Nie słuchając go, Maigret ruszył w stronę bulwaru Grenelle i wszedł do małej restauracji, gdzie było kilka wolnych stolików.

- Dwa steki i frytki - zamówił.

Nie był głodny, ale ten człowiek potrzebował pożywienia.

- Jak się pan nazywa?

- Ricain... François Ricain... Niektórzy nazywają mnie Francis... Właśnie moja żona...

- Proszę posłuchać, Ricain... Muszę wykonać dwa lub trzy telefony...

- Żeby wezwać kolegów?

- Muszę przede wszystkim uprzedzić dzielnicowego komisarza policji, a potem powiadomić prokuraturę... Obiecuję pan, że się stąd nie ruszy?

- A dokąd miałbym pójść? - odparł z goryczą Ricain. - I tak mnie pan aresztuje i wsadzi do więzienia... Nie zniosę tego... Wolałbym...

Nie dokończył, ale łatwo było zrozumieć, o czym myśli.

- Kelner, pół butelki czerwonego bordeaux...

Maigret podszedł do kasy, aby wziąć żetony. Jak się tego spodziewał, komisarz dzielnicowy wyszedł na obiad.

- Czy chce pan, żebym go natychmiast zawiadomił?

- O której ma wrócić?

- Koło drugiej...

- Proszę mu powiedzieć, że będę na niego czekał piętnaście po drugiej na ulicy Świętego Karola, przed bramą kamienicy na rogu bulwaru Grenelle...

W prokuraturze dotarł jedynie do jakiegoś urzędnika niższego szczebla.

- Wydaje się, że na ulicy Świętego Karola została popełniona zbrodnia... Proszę zanotować adres... Gdy wróci któryś z zastępców, proszę mu powiedzieć, że o drugiej piętnaście będę przed bramą...

Na koniec zatelefonował do siedziby Policji Kryminalnej, gdzie zgłosił się Lapointe.

- Czy mógłbyś przyjść za godzinę na ulicę Świętego Karola? Uprzedź koniecznie laboratorium. Niech będą około drugiej pod tym samym adresem... i zabiorą co trzeba do dezynfekcji pokoju, w którym panuje taki odór spowodowany rozkładem zwłok, że nie można wejść... Zawiadom również lekarza sądowego... Nie wiem, kto ma dzisiaj dyżur... Do zobaczenia niebawem...

Usiadł z powrotem naprzeciw Ricaina, który nie poruszył się i spoglądał wokół siebie, jakby nie mogąc uwierzyć, że to na co patrzy jest rzeczywiste.

Restauracja była skromna. Większość klientów pracowała w tej samej dzielnicy i jadła samotnie, przeglądając gazety. Podano befsztyki i dosyć chrupiące frytki.

- Co teraz będzie? - spytał młody mężczyzna, chwytając odruchowo widelec. - Zaalarmował pan wszystkich? Zacznie się wielki cyrk?

- Nie przed drugą... Do tej pory mamy czas, żeby porozmawiać...

- Ja nic nie wiem...

- Zawsze się myśli, że się nic nie wie...

Nie należało go poganiać. Po chwili, gdy Maigret podniósł do ust kawałek mięsa, Francis Ricain zaczął bezwiednie kroić swój befszytk.

Wcześniej oznajmił, że nie będzie zdolny do jedzenia. Tymczasem nie tylko jadł, ale i pił. Kilka minut później komisarz musiał zamówić drugie pół butelki.

- Nie potrafi pan jednak zrozumieć...

- Ze wszystkich zdań, które ludzie wypowiadają, to słyszałem w mojej karierze najczęściej...

Tymczasem przynajmniej dziewięć razy na dziesięć rozumiałem...

- Wiem... Będzie pan ze mnie wszystko wyciągał...

- Więc jest coś do wyciągania?

- Proszę nie żartować... Widział pan, tak jak ja...

- Z tą różnicą, że pan oglądał już raz ten widok. Zgadza się?

- Oczywiście. - Kiedy?

- Wczoraj, około czwartej nad ranem.

- Chwileczkę, niech uporządkuję myśli. Przedwczoraj, to znaczy w środę, opuścił pan swoje mieszkanie około jedenastej wieczorem, zostawiając w nim żonę...

- Sophie nalegała, żeby iść ze mną. Zmusiłem ją do pozostania, gdyż nie lubię dopraszać się o pieniądze w jej obecności. Wyglądałoby tak, jakbym się nią posługiwał...

- Dobrze. Pojechał pan samochodem. Jaki to samochód?

- Triumph z odkrywanym dachem.

- Jeżeli aż tak pilnie potrzebował pan pieniędzy, dlaczego go pan nie sprzedał?

- Gdyż nie dano by mi za niego nawet stu franków. Ta stara gabłota, kupiona okazyjnie, przeszła przez wiele rąk. Ledwo się trzyma na tych swoich czterech kółkach...

- Szukał pan przyjaciół mogących pożyczyć panu pieniądze i nie znalazł pan nikogo?

- Ci, których znalazłem, byli prawie tak samo splukani jak ja...

- Wrócił pan na piechotę, o czwartej nad ranem. Zapukał pan?

- Nie. Otworzyłem drzwi kluczem...

- Pił pan?

- Tak, kilka kieliszków. W nocy większość ludzi, z którymi przestaję, przebywa w barach lub w kabaretach...

- Był pan pijany?

- Nie aż tak...

- Załamany?

- Nie wiedziałem już, co począć...

- Czy pańska żona miała pieniądze?

- Nie więcej niż ja... Musiało jej zostać w torebce ze dwadzieścia lub trzydzieści franków...

- Proszę mówić dalej... Kelner! Jeszcze raz frytki...

- Leżała na podłodze... Wyglądała tak, jakby brakowało jej pół twarzy... Zdaje się, że widziałem mózg...

Odepchnął talerz, wypił łąpczywie czwarty kieliszek wina.

- Przepraszam... Wołałbym o tym nie mówić...

- Czy miał pan w mieszkaniu broń?

Ricain siedział nieruchomo i wpatrywał się w Maigreta, jak gdyby nadeszła przełomowa chwila.

- Rewolwer? Automat?

- Tak.

- Automat?

- Mój... Browning 6,35, wyprodukowany w Herstal...

- Jak to się stało, że posiadał pan broń?

- Oczekiwałem tego pytania... I na pewno mi pan nie uwierzy...

- Przecież nie kupił jej pan u rusznikarza?

- Nie... Nie miałem żadnego powodu, żeby kupować pistolet... Pewnej nocy byliśmy z kilkoma przyjaciółmi w małej restauracji w La Villette... Dużo wypiliśmy... Chcieliśmy uchodzić za niebezpieczne typki...

Zaczerwienił się.

- Zwłaszcza ja... Pozostali to panu potwierdzą... To taka mania... Gdy wypiję, uważam się za wspaniałego faceta... Przyłączyli się do nas jacyś nieznajomi... Wie pan, jak to się zdarza nad ranem... To było zimą, dwa lata temu... Nosilem kanadyjkę na baranku... Sophie była ze mną. Ona też piła, ale nigdy nie traciła całkiem głowy...

Następnego dnia, koło południa, gdy chciałem włożyć moją kurtkę, znalazłem w kieszeni automat... Żona powiedziała, że kupiłem go poprzedniej nocy mimo jej sprzeciwu. Podobno utrzymywałem, że muszę koniecznie zastrzelić kogoś, kto ma do mnie o coś pretensje... Powtarzałem: „Albo on, albo ja, rozumiesz, stary...”

Maigret zapalił fajkę i spoglądał na mężczyznę, nie dając jednak po sobie poznać, co o tym myśli.

- Rozumie pan?

- Proszę mówić dalej... Skończyliśmy na czwartku, o czwartej rano. Przypuszczam, że nikt nie widział, jak wraca pan do domu?

- Oczywiście.

- I nikt nie widział, jak pan wychodzi ponownie?

- Nikt...

- Co zrobił pan z bronią?

- Skąd pan wie, że się jej pozbyłem?

Komisarz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłem... Zrozumiałem, że zostanę oskarżony...

- Dlaczego?

Ricain spojrział na rozmówcę ze zdumieniem.

- To naturalne, prawda?... Tylko ja miałem klucz... Posłużono się bronią, która należała do mnie i którą trzymałem w szufladzie komody... Zdarzało się, że kłóciliśmy się z Sophie... Chciała, żebym wziął jakąś stałą pracę...

- Jaki ma pan zawód?

- O ile można nazwać to zawodem... Jestem dziennikarzem, ale nie związanym z żadnym konkretnym pismem... Inaczej mówiąc, umieszczam swoje teksty, gdzie się da, zwłaszcza krytyki filmowe... Jestem również asystentem reżysera. Piszę dialogi, gdy nadarza się okazja...

- Wrzucił pan browning do Sekwany?

- Trochę poniżej mostu Bir-Hakeim... Potem spacerowałem. ...

- Czy w dalszym ciągu szukał pan przyjaciół?

- Już nie miałem odwagi... Ktoś mógł usłyszeć wystrzał i zatelefonować na policję... Sam nie wiem... W takich chwilach nie zawsze postępuje się zgodnie z logiką...

Myślałem, że będą mnie ścigać... że zostanę oskarżony i wszystko będzie przemawiać przeciw mnie. Nawet fakt, że błąkałem się przez część nocy... Że piłem... W dalszym ciągu poszukiwałem pierwszego lepszego otwartego baru... Gdy wreszcie znalazłem, w okolicy Vaugirard, opróżniłem, jeden po drugim, aż trzy kieliszki rumu... Gdyby mi zadawano pytania, nie byłbym w stanie odpowiedzieć jasno... Byłem pewien, że się zapłaczę... Że zamkną mnie w celi... A ja cierpię na klaustrofobię, tak że nawet nie mogę jeździć metrem... Sama myśl o więzieniu, o olbrzymich zasuwach w drzwiach...

- Czy to klaustrofobia poddała panu myśl o ucieczce za granicę?

- Sam pan widzi, że mi pan nie wierzy...

- Może wierzę.

- Trzeba znaleźć się w takiej sytuacji jak moja, żeby się dowiedzieć, co człowiekowi przychodzi do głowy... Nie myśli się logicznie... Nie byłbym zdolny powiedzieć panu, przez jakie dzielnice szedłem... Odczuwałem nieprzepartą potrzebę chodzenia, byle jak najdalej od Grenelle, gdzie jak sobie wyobrażałem, już mnie na pewno szukali. Przypominam sobie, że zauważyłem Dworzec Montparnasse, że napiłem się białego wina na bulwarze Świętego Michała... Może to właśnie Dworzec Montparnasse...

Chodziło mi nie tyle o to, żeby uciec... ale żeby zyskać na czasie i nie być przesłuchiwanym w stanie, w jakim się znajdowałem... W Belgii czy też gdzie indziej mógłbym przeczekać... Mógłbym przeczytać w gazetach o postępach śledztwa... Mógłbym dowiedzieć się o szczegółach, których nie znałem, a które pozwoliłyby mi bronić się...

Maigret nie mógł powstrzymać się od uśmiechu wobec takiego połączenia sprytu i naiwności.

- Co pan robił na placu Republiki?

- Nic... Dotarłem tam, tak jak mógłbym dotrzeć gdzie indziej... W kieszeni został mi banknot dziesięciofrankowy... Przepuściłem trzy autobusy...

- Bo były to pojazdy całkiem zamknięte?

- Nie wiem... Przysięgam panu, panie komisarzu, że nie wiem... Potrzebowałem pieniędzy na pociąg... Wsiadłem na platformę... Było dużo ludzi i staliśmy bardzo ściśnięci... Zobaczyłem pana od tyłu...

W pewnej chwili cofnął się pan i o mało nie stracił równowagi... Zauważyłem portfel, który wystawał panu z kieszeni... Schwyciłem go bez zastanowienia. Podnosząc zaś głowę, zobaczyłem utkwiony we mnie wzrok kobiety...

Zastanawiałem się, dlaczego nie wszczęła alarmu... Wyskoczyłem w biegu... Na szczęście znajdowaliśmy się na bardzo ruchliwej ulicy, z płataniną wąskich uliczek wokół... Zacząłem biec... Potem szedłem...

- Kelner, dwie napoleonki...

Było wpół do drugiej. Za czterdzieści pięć minut sprawiedliwość przybierze swoje zwykłe oblicze i kawalerkę na ulicy Świętego Karola zapełnią osoby urzędowe, a policjanci będą trzymać ciekawskich na odległość.

- Co pan ze mną zrobi?

Maigret nie odpowiedział od razu z tej prostej przyczyny, że jeszcze nie podjął decyzji.

- Aresztuje mnie pan?... Zdaję sobie sprawę, że nie może pan postąpić inaczej, mimo to przysięgam raz jeszcze, że...

- Proszę jeść... Napije się pan kawy?

- Dlaczego pan to robi?

- A co ja robię takiego nadzwyczajnego?

- Zmusza mnie pan do jedzenia i picia... Nie pogania mnie pan, lecz przeciwnie, słucha cierpliwie... Czy nie nazywacie tego przesłuchaniem dla zamydlenia oczu?

Maigret uśmiechnął się.

- Niezupelnie... Próbuję jedynie trochę uporządkować fakty...

- I nakłonić mnie do mówienia...

- Tak bardzo nie nalegałem...

- Czuję się trochę lepiej...

Zjadł napoleonkę, jakby tego nie zauważając, i zapalił papierosa. Na twarzy pojawiły mu się znowu lekkie kolory.

- Tylko nie jestem w stanie tam wrócić, oglądać... wdychać...

- A ja?

- To pański zawód... I nie chodzi o pańską żonę...

Przechodził gwałtownie od obłądu do zdrowego rozsądku, od zaślepienia i paniki do przenikliwości w rozumowaniu.

- Dziwne z pana zwierzę...

- Dlatego, że jestem szczery?

- Mnie też nie zależy, żeby plątał się pan po mieszkaniu podczas oględzin prokuratury. A jeszcze mniejszą mam ochotę, żeby dziennikarze nękali pana pytaniami... Gdy moi inspektorzy przyjadą na ulicę Świętego Karola - właściwie to powinni już tam na nas czekać - każę zawieźć pana na Quai des Orfèvres...

- Do celi?

- Do mojego gabinetu, gdzie grzecznie pan na mnie poczeka...

- A potem? Co stanie się potem?

- To będzie zależało...

- Co ma pan nadzieję odkryć?

- Nie mam pojęcia... Wiem mniej od pana, gdyż nie oglądałem ciała z bliska i nie widziałem broni...

Całej rozmowie towarzyszyły odgłosy kieliszków, widelców, szepty, krzątania kelnera i wysoki dźwięk dzwonka kasowego.

Słońce padało na przeciwległy chodnik, wobec czego cienie przechodniów były krótkie i szerokie. Samochody i autobusy przejeżdżały jedno za drugim, trzaskały drzwiczki.

Wychodząc z restauracji obaj mężczyźni jakby się zawahali. W kącie bistra byli przez długą chwilę oddzieleni od innych, od toczącego się życia, hałasów, głosów, znajomych widoków.

- Wierzy mi pan?

Ricain postawił pytanie, nie śmiać spojrzeć na Maigreta.

- Nie nadeszła jeszcze chwila, żeby wierzyć czy nie. Proszę! Tam są moi ludzie...

Na ulicy Świętego Karola dostrzegł jeden z czarnych wozów Policji Kryminalnej oraz furgonetkę laboratorium kryminalistyki. W małej grupie osób rozmawiających na chodniku rozpoznał Lapointe'a. Znajdował się tam także gruby Torrence i to jemu komisarz powierzył mężczyznę.

- Zawieź go na Quai. Umieść w moim gabinecie, zostań z nim i nie zdziw się, jeżeli zaśnie. Od dwóch nocy nie zmrużył oka.

* * *

Nieco po drugiej widać było, jak podjeżdża furgonetka służb sanitarnych Paryża, gdyż Moers

i jego ludzie nie dysponowali koniecznym sprzętem.

Na podwórku, przed drzwiami kawalerek czekały już grupki mężczyzn, obserwowane z uwagą przez ciekawskich, których umundurowana policja trzymała na odległość.

Zastępca prokuratora Dreville i sędzia śledczy Camus rozmawiali z Pigetem, komisarzem policji z XV dzielnicy. Waśnie wstali od stołu po mniej lub bardziej sutym obiedzie, a ponieważ prace dezynfekcyjne przeciągały się, spoglądali od czasu do czasu na zegarki.

Lekarzem sądowym był doktor Delaplanque, stosunkowo nowy w zawodzie. Maigret go lubił i zadał mu kilka pytań. Mimo odoru i much Delaplanque nie zawahał się dokonać już w pokoju pierwszych oględzin.

- Niedługo będę mógł podać panu trochę więcej szczegółów. Mówił mi pan o pistolecie 6,35 i to mnie dziwi, gdyż przysięgłbym, że rana została zadana za pomocą broni dużego kalibru.

- Odległość?

- Na pierwszy rzut oka nie ma obwódki ani osadu z prochu. Śmierć nastąpiła natychmiast lub prawie natychmiast, albowiem kobieta utraciła bardzo mało krwi. Kim ona właściwie była?

- Żoną młodego dziennikarza...

Dla nich wszystkich, tak jak dla Moersa i specjalistów z wydziału ustalania tożsamości, stanowiło to codzienną pracę, wykonywaną bez żadnych wzruszeń. Czyż nieco wcześniej, nie można było usłyszeć, jak jeden z pracowników służb miejskich wykrzyknął wchodząc do kawalerki:

- Ależ cuchnie ta dziwa!

Niektóre kobiety trzymały na ręku dzieci. Inne, starannie ulokowane, żeby wszystko widzieć, tkwiły w oknach, nie ruszając się z miejsca. Opierały się na łokciach i z mieszkania do mieszkania wymieniały między sobą uwagi.

- Jest pani pewna, że to nie ten najgrubszy?

- Nie, tego najgrubszego nie znam...

Chodziło o Lourtie'ego. Tymczasem obie kobiety szukały oczyma Maigreta.

- O proszę! To ten, co pali fajkę...

- Dwóch pali fajkę...

- Nie ten młodzieńcu, oczywiście... Ten drugi... Zbliży się do funkcjonariuszy z Pałacu Sprawiedliwości.

Zastępca prokuratora Dreville spytał komisarza:

- Wie pan, o co tu chodzi?

- Zmarła młoda, dwudziestodwuletnia kobieta, Sophie Ricain, z domu Le Gal, pochodząca z Concarneau, gdzie jej ojciec jest zegarmistrzem...

- Zawiadomiono go?

- Jeszcze nie... Zaraz się tym zajmę...

- Mężatka?

- Od trzech lat, żona François Ricaina, młodego dziennikarza, po trochu filmowca, który próbuje szczęścia w Paryżu...

- Gdzie on teraz jest?

- W moim gabinecie.

- Podejrzewa go pan?

- Do tej chwili nie. Nie jest w stanie asystować przy wizji lokalnej prokuratury i tylko by nam zawadzał.

- Gdzie był w chwili zbrodni?

- Nikt nie zna chwili zbrodni.

- A pan, doktorze, nie może ustalić jej w przybliżeniu?

- Nie teraz... Być może, dzięki sekcji zwłok, jeżeli dowiem się, o której ofiara zjadła ostatni posiłek i z czego się składał.

- Sąsiedzi?

- Jak pan widzi, kilkoro z nich nas obserwuje. Jeszcze z nimi nie rozmawiałem, ale nie sądzę, żeby mieli coś ciekawego do powiedzenia. Proszę zauważyć, że do tych kawalerek można wejść nie przechodząc przed służbówką dozorczyń, która mieści się w wejściu od strony bulwaru Grenelle.

Rutyna. Oczekiwanie. Zdania wypowiedane bez związku. Lapointe podążał w ślad za swoim szefem bez słowa, ze spojrzeniem i postawą wiernego psa.

Ludzie od dezynfekcji wynosili właśnie z kawalerki duży, miękki wąż, pomalowany na szaro, który umieścili tam kwadrans wcześniej. Szef ekipy w białym fartuchu dał znak, że można się zbliżyć.

- Proszę nie pozostawać w pokoju zbyt długo - zalecił Maigretowi - gdyż powietrze jest jeszcze przesycone formaliną.

Doktor Delaplanque ukląkł przy ciele, które obejrzał z nieco większą uwagą niż za pierwszym razem.

- Jeśli o mnie chodzi, można ją zabrać.

- A pan, Maigret?

Maigret zobaczył wszystko, co było do zobaczenia: skulone ciało ubrane w jedwabny kwiecisty szlafrok, czerwony pantofel zaczepiony o stopę. Z położenia zwłok w pokoju nie dawało się wywnioskować, co robiła młoda kobieta, a nawet gdzie dokładnie znajdowała się w chudli, gdy dosięgła ją kula.

Twarz była dosyć zwyczajna, raczej ładna - o ile w ogóle można to było ocenić. Paznokcie palców u nóg pociągnięto na czerwono, ale od jakiegoś czasu nie dbała o nie, gdyż lakier był popękany, a paznokcie niezbyt czyste.

Kancelista stojący obok swojego szefa protokołował, tak jak czynił to sekretarz komisarza policji.

- Wnieście nosze...

Chodzono po martwych muchach. Osoby, dla których brakowało już miejsca w pokoju, jedna po drugiej wyciągały chusteczki i podnosiły je do oczu z powodu zapachu formaliny.

Wyniesiono ciało i na podwórzu przez kilka chwil panowała pełna powagi cisza. Panowie z prokuratury wycofali się pierwsi, potem Delaplanque, natomiast Moers i specjaliści czekali, żeby podjąć pracę.

- Przeszukujemy wszystko, szefie?

- Chyba tak. Nigdy nic nie wiadomo.

Być może stali w obliczu jakiejś tajemnicy albo przeciwnie, wszystko okaże się zupełnie jasne. Tak jest na początku każdego albo prawie każdego śledztwa.

Maigret, z piekącymi powiekami, otworzył jedną z szuflad komody, która zawierała najróżniejsze przedmioty: starą lornetkę, guziki, złamane pióro, ołówki, zrobione podczas kręcenia jakiegoś filmu zdjęcia, okulary słoneczne, rachunki...

Wróci, gdy odór ustąpi. Odnotował jednak w pamięci dziwaczny wystrój kawalerki. Podłogę pociągnięto czarnym lakierem. Ściany, tak jak i sufit, pomalowano na ostry, czerwony kolor. Natomiast meble były kredowobiałe, co nadawało całości jakiś nierzeczywisty wygląd. Można by sądzić, że to dekoracje. Nie było tu nic trwałego.

- Co o tym myślisz, Lapointe? Chciałbyś mieszkać w takim pokoju jak ten?

- Prześladowałyby mnie koszmary.

Wyszli. Po podwórzu kręcili się wciąż gapie, którym policjanci pozwolili nieco się zbliżyć.

- Przecież mówiłam ci, że to tamten... Zastanawiam się, czy wróci... Podobno robi wszystko sam i możliwe, że będzie nas przesłuchiwał.

Adresatką tych słów była blondynka bez wyrazu, trzymająca na ręku dziecko. Patrzyła na Maigreta z uśmiechem, który najpewniej podpatrzyła u jakiejś gwiazdy filmowej.

- Zostawię ci Lourtie'ego. Oto klucz do kawalerki. Gdy ludzie Moersa już skończą, zamknij drzwi i zacznij przepytywać sąsiadów. Zbrodni nie popełniono podczas ostatniej nocy, o ile rzeczywiście chodzi o zbrodnię, ale w nocy ze środy na czwartek...

Spróbuj dowiedzieć się, czy sąsiedzi słyszeli nocnego gościa... Podziel się z Lourtie'em lokatorami... Potem idźcie porozmawiać ze sklepikarzami... W szufladzie jest pełno rachunków... Znajdziesz tam adresy firm, w których się zaopatrywali...

Byłbym zapomniał... Czy zechciałbyś pójść i zobaczyć, czy telefon jeszcze działa? Wydaje mi się, że gdy go widziałem w południe, słuchawka była zdjęta z widełek...

Telefon działał.

- Nie wracajcie obaj na Quai, dopóki do mnie nie zadzwonicie... Powodzenia, chłopcy...

Maigret oddalił się w stronę bulwaru Grenelle i zszedł do metra. Pół godziny później był na świeżym powietrzu, a wkrótce znalazł się w swoim gabinecie, gdzie czekał na niego François Ricain.

Torrence czytał gazetę.

- Nie chce się pan czegoś napić? - spytał Ricaina, zdejmując kapelusz. Skierował się w stronę okna, by je nieco szerzej otworzyć. - Nic nowego, Torrence?

- Przed chwilą dzwonił jakiś dziennikarz...

- Byłem zdziwiony nie widząc ich tam... Zdaje się, że w XV komisariacie mają źle zorganizowane służby wywiadowcze... Lapointe będzie ich miał na karku...

Zwrócił wzrok na Ricaina, zwłaszcza na jego ręce, i powiedział do inspektora:

- Zaprowadź go na wszelki wypadek do laboratorium... Niech mu zrobią test parafinowy... W tym konkretnym przypadku niczego nie dowiedzie, ponieważ zbrodnia została popełniona prawie dwa dni temu, ale pozwoli to uniknąć kłopotliwych pytań...

Za kwadrans będzie wiadomo, czy Ricain ma ślady prochu na palcach. Ich brak nie udowodni w sposób ostateczny, że nie strzelał, ale byłby dużym atutem na jego korzyść.

- Halo?... To ty?... Przepraszam cię... Oczywiście. Gdyby to nie była sprawa służbowa, wróciłbym na obiad... Ależ tak, jadłem befszytki i frytki, z pewnym nadpobudliwym młodym człowiekiem... Wchodząc do restauracji obiecałem sobie, że zadzwonię do ciebie, ale potem sprawy potoczyły się tak szybko, że wyleciało mi to z głowy... Nie masz żalu?... Nie, nie wiem... Zobaczymy...

Jeszcze nie potrafił przewidzieć, czy tego wieczoru wróci na kolację do domu. Zwłaszcza gdy chodziło o takiego chłopca jak François Ricain, którego nastroje ulegały zmianie co kilka sekund.

Maigret miałby duży kłopot z wyrażeniem na jego temat opinii. Był niewątpliwie obdarzony przenikliwą inteligencją, o czym świadczyły niektóre jego wypowiedzi. A oprócz tego było w nim coś naiwnego lub dziecinnego.

Jak w obecnej chwili można go ocenić? W opłakanym stanie fizycznym i moralnym, u kresu wytrzymałości nerwowej, rozdarty pomiędzy sprzeczne uczucia.

Jeżeli nie zabił żony i jeżeli rzeczywiście zamierzał ukryć się w Belgii czy gdzie indziej, świadczyłoby to o jego całkowitym zagubieniu. I klaustrofobia, na którą się powoływał, nie wyjaśniała tego wystarczająco.

To prawdopodobnie on wymyślił wystrój kawalerki: czarną podłogę, czerwone ściany i sufit, białe meble, które odcinały się od całości i jakby pływały w przestrzeni.

Miało się wrażenie, że podłoga nie jest stabilna, ściany zbliżają się lub oddalają niby w studiu filmowym, a komoda, tapczan, stół i krzesła są atrapami z tektury.

Czy on sam nie wyglądał na jakąś sztuczną istotę? Maigret wyobrażał sobie wyraz twarzy

zastępcy prokuratora lub sędziego Camusa, gdyby od początku do końca przeczytali zdania, które ten młody człowiek wypowiedział najpierw w kawiarni i na ulicy La-Motte-Picquet, a później w malej restauracji dla stałych gości.

Byłby również ciekaw opinii o nim doktora Pardon.

Ricain wrócił, a za nim Torrence.

- A więc?

- Wynik ujemny...

- Nigdy w życiu nie wystrzeliłem z broni, chyba że na jarmarku. Nie wiedziałbym, jak ją odbezpieczyć.

- Proszę usiąść.

- Widział się pan z sędzią...

- Z sędzią śledczym i z zastępcą prokuratora...

- Co zdecydowali? Czy zostanę aresztowany?

- Co najmniej po raz dziesiąty słyszę, jak wymawia pan to słowo... Do tej pory miałbym tylko jeden powód do aresztowania: kradzież mojego portfela, a ja nie złożyłem skargi...

- Odesłałem go panu...

- Zgadza się. Spróbujmy uporządkować pewne sprawy, o których mi pan powiedział, i inne, których jeszcze nie znam. Możesz odejść, Torrence. Powiedz Janvierowi, żeby przyszedł...

Chwilę później Janvier usiadł przy końcu biurka i wyciągnął z kieszeni ołówki.

- Nazywa się pan François Ricain. Ma pan dwadzieścia pięć lat. Gdzie się pan urodził?

- W Paryżu, na ulicy Caulaincourt.

Mieszczkańska, prawie prowincjonalna ulica niedaleko za Sacre - Coeur.

- Czy pańscy rodzice jeszcze żyją?

- Ojciec... Jest maszynistą na kolei...

- Od jak dawna jest pan żonaty?

- Trochę ponad trzy i pół roku. W czerwcu będą cztery lata... Siedemnastego...

- Miał więc pan dwadzieścia jeden lat, a żona...

- Osiemnaście...

- Czy pański ojciec był już wtedy wdowcem?

- Matka umarła, gdy miałem czternaście lat...

- I w dalszym ciągu mieszkał pan z ojcem?

- Przez kilka lat... Gdy miałem siedemnaście lat, opuściłem go...

- Dlaczego?

- Ponieważ nie rozumieliśmy się...

- Czy był jakiś szczególny powód?

- Nie... Nudziłem się... Chciał, żebym pracował na kolei, tak jak on, a ja odmawiałem...

Uważał, że tracę czas na czytanie i naukę...

- Ma pan maturę?

- Rzuciłem szkołę dwa lata przed...

- Żeby co robić? Gdzie pan mieszkał? Z czego żył?

- Popędza mnie pan - poskarżył się Ricain.

- Nie popędzam. Zadaję tylko podstawowe pytania.

- Były różne okresy... Sprzedawałem gazety na ulicy... potem byłem gońcem w drukarni na Montmartre... Przez pewien czas mieszkałem z przyjacielem...

- Jego nazwisko, adres...

- Bernard Flechier... Wynajmował pokój na ulicy Coquilliere... Straciłem go z oczu...

- Czym się zajmował?

- Prowadził wózek bagażowy...

- Później?

- Przez sześć miesięcy pracowałem w papeterii... Pisywałem też opowiadania, które nosiłem do gazet... Jedno mi przyjęto i zarobiłem sto franków... Facet, który ze mną rozmawiał, zdziwił się widząc, że jestem taki młody...

- Nie przyjął panu innych opowiadań?

- Nie... Następne odrzucono...

- Czym się pan zajmował, gdy spotkał żonę, to znaczy tę, która miała zostać pańską żoną, Sophie Le Gal, zgadza się?

- Byłem trzecim asystentem przy produkcji filmu, który został zatrzymany przez cenzurę; film wojenny, zrealizowany przez młodych...

- Czy Sophie pracowała?

- Nieregularnie... Była statystką... Zdarzało się, że pozowała jako modelka...

- Czy mieszkała sama?

- W hoteliku, na Saint-Germain-des-Pres...

- Miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie. Przespaliśmy się ze sobą, ponieważ po pewnej prywatce znaleźliśmy się o trzeciej nad ranem sami na ulicy. Pozwoliła mi się odprowadzić... Byliśmy ze sobą przez kilka miesięcy, a potem pewnego pięknego dnia wpadliśmy na pomysł, żeby się pobrać...

- Jej rodzice zgadzali się?

- Nie mieli wiele do powiedzenia... Pojechała do Concarneau i wróciła z listem od ojca zezwalającym na ślub... - A pan?

- Ja też spotkałem się z ojcem.

- Co powiedział?

- Wzruszył ramionami...

- Nie był na ślubie?

- Nie... Tylko moi kumple, trzech czy czterech... Wieczorem wszyscy razem poszliśmy coś zjeść do Hal...

- Czy Sophie była z kimś związana, zanim pana spotkała?

- Nie byłem pierwszy, jeśli o to panu chodzi...

- Czy dłużej lub krócej żyła z jakimś mężczyzną, który mógł być do tego stopnia zakochany, żeby próbować zobaczyć się z nią znowu?

Wydawał się szukać w pamięci.

- Nie... Spotykaliśmy jej byłych kumpli, ale żadnej wielkiej miłości... Wie pan, przez te cztery lata mieliśmy dosyć czasu na bywanie w różnych grupach... Pewni ludzie przyjaźnili się z nami przez pół roku, potem znikli... Ich miejsce zajęli inni, z którymi spotykaliśmy się od czasu do czasu... Stawia pan pytania, jakby wszystko było proste... Zapisuje się moje odpowiedzi... Niech no tylko się pomylę, zapłaczę, opuszczę jakiś szczegół, a wyciągniecie z tego nie wiadomo jakie wnioski... Niech pan przyzna, że to nie jest sprawiedliwe...

- Woli pan zostać przesłuchany w obecności adwokata?

- Mam do tego prawo?

- Jeżeli sam się pan uważa za podejrzanego...

- A pan?... Za kogo mnie pan uważa?

- Za męża kobiety, która zmarła gwałtowną śmiercią... Za chłopca, który stracił głowę i ukradł mój portfel, żeby mi go potem odesłać razem z zawartością... Za bardzo inteligentnego faceta, ale niezbyt stałego...

- Gdyby spędził pan takie dwie noce jak ja...

- Dojdziemy i do tego... Tak więc miał się pan różnych zajęć, ale nie wytrwał pan przy żadnym...

- Tylko po to, żeby zarobić na życie, w oczekiwaniu...

- Na co?

- Na początek kariery...

- Jakiej kariery?

Zmarszczył brwi, obserwując Maigreta, jakby chciał upewnić się, że w głosie komisarza nie ma drwiny.

- Jeszcze się waham... W każdym razie chcę pisać, ale jeszcze nie wiem, czy wybiorę formę scenariusza, czy powieści... Nęci mnie reżyseria, pod warunkiem, że byłby to film autorski...

- Obraca się pan w środowisku filmowym?

- W Vieux-Pressoir, tak... Tam spotyka się debiutantów jak ja, ale nawet taki producent jak pan Carus nie gardzi naszym towarzystwem podczas kolacji...

- Kim jest pan Carus?

- Producentem, już mówiłem. Mieszka w hotelu Raphael i ma swoje biura pod numerem 18 bis na ulicy Bassano, obok Pól Elizejskich...

- Finansował już jakieś filmy?

- Trzy czy cztery... W koprodukcji z Niemcami i Włochami. Dużo podróżuje...

- Ile lat ma ten pan?

- Około czterdziestu. - Żonaty?

- Żyje z pewną młodą kobietą, Norą, była modelką.

- Znał pańską żonę?

- Oczywiście. W tym środowisku nie robi się zbędnych ceregieli.

- Czy pan Carus ma dużo pieniędzy?

- Na swoje filmy znajduje...

- Ale nie posiada osobistego majątku?

- Mówiłem już, że mieszka w Raphaelu, gdzie zajmuje apartament... To kosztowne... Nocami można go spotkać w najlepszych klubach...

- Czy to nie jego szukał pan w nocy ze środy na czwartek? Ricain zaczerwienił się.

- Tak... Najlepiej jego, gdyż zawsze w kieszeni ma plik banknotów...

- Jest mu pan winien pieniądze?

- Tak...

- Dużo?

- Około dwóch tysięcy...

- Nie żąda zwrotu?

- Nie...

Nieznaczna, trudna do określenia zmiana zaszła w młodym człowieku i Maigret zaczął obserwować go z większą uwagą.

Musiał jednak pozostać ostrożny, ponieważ jego rozmówca był wciąż gotów ukryć się w swojej skorupie.

III

Gdy Maigret wstał, Ricain wzdrygnął się i spojrzał na niego z niepokojem, ponieważ zdawał się spodziewać nieustannie jakiejś przeciwności losu lub zdrady. Komisarz stanął na chwilę przed otwartym oknem, jakby pragnął zanurzyć się w rzeczywistości, spoglądając na przechodniów i samochody na moście Świętego Michała bądź na holownik z wielką białą koniczyną na kominie.

- Zaraz wracam.

Z pokoju inspektorów poprosił o połączenie z Instytutem Medycyny Sądowej.

- Tu Maigret... Czy zechciałby pan sprawdzić, czy doktor Delaplanque zakończył sekcję?

Czekał dosyć długo, zanim usłyszał po drugiej stronie głos lekarza sądowego.

- Dobrze pan trafił, panie komisarzu. Miałem właśnie do pana dzwonić. Czy zdołał się pan dowiedzieć, o której godzinie ta młoda kobieta jadła swój ostatni posiłek i z czego się składał?

- Za chwilę to panu powiem. Rana?

- O ile mogę ocenić, strzał został oddany z odległości jednego do półtora metra.

- Z naprzeciwka?

- Z boku. Ofiara stała. Musiała cofnąć się o krok lub dwa, zanim upadła na dywan. Potwierdzi to laboratorium, które pobrało próbki krwi z plam. Jeszcze coś. Ta kobieta była kiedyś w ciąży, którą przerwano prymitywnymi środkami około trzeciego lub czwartego miesiąca. Dużo paliła, ale cieszyła się dosyć dobrym zdrowiem...

- Zechce pan pozostać chwilę przy aparacie? Wrócił do gabinetu.

- Czy jadł pan kolację razem z żoną w środę wieczorem?

- Około wpół do dziewiątej, w Vieux-Pressoir...

- Przypomina pan sobie, co jadła?

- Chwileczkę... Ja nie byłem głodny... Wziąłem tylko angielski półmisek... Sophie zamówiła zupę rybną, którą poleciła jej Rose, a następnie wołowinę gotowaną w gruboziarnistej soli..

- Bez deseru?

- Bez... Wypiliśmy karafkę beaujolais... Ja zamówiłem kawę... Sophie nie...

Maigret poszedł do sąsiedniego pokoju powtórzyć jadłospis doktorowi Delaplanque.

- Jeżeli jadła kolację około wpół do dziewiątej, to można założyć, że zgon nastąpił w okolicy jedenastej wieczorem, gdyż pokarm był prawie całkowicie strawiony... Więcej powiem po analizie chemicznej, ale to zajmie kilka dni...

- Czy zrobił pan test parafinowy?

- Pomyślałem o tym... Ani śladu prochu na rękach... Jutro rano otrzyma pan mój wstępny raport...

Maigret usiadł z powrotem za biurkiem i ułożył według wielkości pięć czy sześć fajek, które zawsze się tam znajdowały.

- Mam jeszcze do pana kilka pytań, Ricain, ale waham się, czy zadać je dzisiaj. Jest pan wyczerpany i trzyma się tylko dzięki nerwom...

- Wolę skończyć z tym od razu...

- Jak pan sobie życzy. W sumie, o ile dobrze pana zrozumiałem, nigdy nie miał pan dotychczas stałego zajęcia ani regularnych dochodów?

- Dziesiątki tysięcy ludzi jest w takiej samej sytuacji.

- Komu był pan jeszcze winien pieniądze?

- Wszystkim dostawcom... Niektórzy nie chcieli już nas obsługiwać... Winien jestem jeszcze pięćset franków Makiemu...

- Kto to?

- Rzeźbiarz, który mieszka w tej samej kamienicy, co ja... Abstrakcjonista, ale od czasu do czasu, żeby zarobić trochę pieniędzy, zgadza się wykonać jakieś popiersie... Dwa tygodnie temu zgarnął właśnie cztery czy pięć tysięcy franków i zafundował nam kolację... Przy deserze poprosiłem go o niewielką pożyczkę...

- Komu jeszcze jest pan winien?

- Lista jest długa!

- Spodziewał się pan im oddać?

- Jestem pewien, że któregoś dnia zarobię dużo pieniędzy... Większość reżyserów, znanych pisarzy, zaczynała tak jak ja...

- Zmieńmy temat. Czy był pan zazdrosny?

- O kogo?

- Mówię o pańskiej żonie. Przypuszczam, że czasem niektórzy z pańskich kolegów zalecali się do niej?

Ricain milczał zakłopotany, po czym wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, żeby mógł pan zrozumieć... Należy pan do innego pokolenia... My młodzi nie przywiązujemy takiej wagi do tych spraw...

- Czy chce pan powiedzieć, że pozwoliliby na to, żeby utrzymywała intymne stosunki z innymi?

- Trudno odpowiedzieć na tak brutalnie postawione pytanie.

- Proszę jednak spróbować.

- Pozowała nago Makiemu...

- I nic się nie wydarzyło?

- Nie pytałem ich o to.

- A pan Carus?

- Carus ma tyle dziewczyn, ile zapragnie. Wszystkie, które chcą występować w filmach albo w telewizji...

- Korzysta z tego?
- Tak mi się wydaje...
- Czy pańska żona nie próbowała zagrać w filmie?
- Przed trzema miesiącami dostała kilkudzaniową rolę...
- A więc nie był pan zazdrosny?
- Nie w sposób, w jaki pan to rozumie...
- Powiedział mi pan, że Carus ma kochankę...
- Norę...
- Czy jest zazdrosna?
- To nie to samo... Nora jest inteligentną i ambitną dziewczyną... Kino wcale jej nie obchodzi... Jedyne, czego pragnie, to zostać panią Carus i mieć dużo pieniędzy...
- Czy rozumiały się dobrze z pańską żoną?
- Tak jak z innymi... Spoglądała na nas, zarówno kobiety jak i mężczyzn, z pobłażliwością...

Do czego pan zmierza?

- Do niczego.
- Czy ma pan zamiar przesłuchać wszystkich, z którymi się spotykałem?
- Możliwe. Ktoś zabił pańską żonę. Pan twierdzi, że jest niewinny. Do chwili udowodnienia czegoś wręcz przeciwnego, jestem skłonny panu wierzyć.

W środę wieczorem, wkrótce po pańskim wyjściu, nieznana osoba weszła do waszego mieszkania. Osoba ta nie miała klucza, co każe przypuszczać, że pańska żona wpuściła ją, nie okazując nieufności.

Maigret spoglądał ociężale na młodego człowieka naprzeciw siebie. Ten, zniecierpliwiony, usiłował się wtrącić.

- Chwileczkę! - powstrzymał go inspektor. - Kto z pańskich przyjaciół wiedział o istnieniu pistoletu?

- Prawie wszyscy... Powiedzmy, że wszyscy...
- Czy zdarzało się, że nosił go pan przy sobie?
- Nie. Ale zdarzało się, że gdy sypnęło mi trochę grosza, zapraszałem przyjaciół do siebie...

Kupowałem wędliny, łososia, zimne dania i każdy przynosił butelkę wina albo whisky...

- O której kończyły się te przyjęcia?
- Późno w nocy... Dużo piliśmy... Kto zasypiał, zostawał do rana... Czasem wtedy wyciągałem pistolet, dla zabawy...

- Był nabity?
- Ricain nie odpowiedział od razu i w takiej chwili jak ta trudno było go nie podejrzewać.
- Nie wiem...

- Niech pan posłucha. Opowiada mi pan o wieczorach, podczas których wszyscy byli

bardziej lub mniej pijani. Chwytał pan, dla zabawy, za broń i dzisiaj utrzymuje pan, że nie wie, czy była nabita. Przed chwilą twierdził pan, że nie wie, gdzie jest zabezpieczenie. Mógłby pan niechcący zabić każdego z pańskich przyjaciół.

- Możliwe. Gdy jest się pijanym...

- Często był pan pijany, Ricain?

- Dosyć często... Jednak nie aż tak pijany, żeby nie wiedzieć, co robię. Ale piłem ostro, jak większość moich kumpli... Gdy się spotyka z ludźmi głównie w kawiarniach i klubach...

- Gdzie zamykał pan pistolet?

- Nigdzie. Leżał w górnej szufladzie komody, razem ze starymi sznurkami, gwoździami, pinezkami, rachunkami, z tym wszystkim, co nie wiadomo gdzie wepchnąć...

- Tak więc każda z osób spędzających u pana wieczory mogła wziąć broń i posłużyć się nią?

- Tak.

- Ma pan jakieś podejrzenia?

Kolejne wahanie, uciekające spojrzenie.

- Nie...

- Nikt nie był naprawdę zakochany w pańskiej żonie?

- Ja...

Dlaczego wypowiedział to słowo sarkastycznym tonem?

- Zakochany, ale nie zazdrosny?

- Już panu tłumaczyłem...

- A Carus?

- Też panu mówiłem... - Maki?

- Z pozoru to straszne bydlę, ale jest łagodny jak baranek i boi się kobiet...

- Proszę opowiedzieć mi o pozostałych, o ludziach, z którymi pan przestawał, z którymi spotykał się pan w Vieux-Pressoir, i którzy kończyli wieczór u pana, gdy dysponował pan pieniędzmi.

- Gerard Dramin... Jest pierwszym asystentem... To z nim pracowałem nad pewnym scenariuszem i byłem trzecim asystentem przy kręceniu filmu.

- Żonaty?

- Obecnie w separacji z żoną... Nie po raz pierwszy... Po kilku miesiącach zwykle w końcu wracają do siebie...

- Gdzie mieszka?

- To tu, to tam, zawsze w hotelach... Chętnie się chwali, że nie posiada nic oprócz jednej walizki...

- Notujesz, Janvier?

- Tak, szefie, nadążam...

- Kto jeszcze, Ricain?
 - Fotograf, Jacques Huguet, który mieszka w tym samym domu co ja.
 - Wiek?
 - Trzydzieści lat.
 - Żonaty?
 - Dwukrotnie... I podwójny rozwodnik. Ma dziecko z pierwszą żoną, dwoje z drugą. Ta druga mieszka zresztą na tym samym piętrze co on.
 - Ten Huguet mieszka sam?
 - Z Jocelyne. To porządna dziewczyna, w siódmym lub ósmym miesiącu ciąży...
 - Co razem czyni trzy żony. Czy widuje się z dwoma pierwszymi?
 - Wszystkie trzy doskonale się ze sobą rozumieją.
 - Proszę kontynuować.
 - Co kontynuować?
 - Listę przyjaciół, bywalców Vieux-Pressoir.
 - Zmieniają się, już to panu mówiłem... Jest jeszcze Pierre Louchard...
 - Czym się zajmuje?
 - Przekroczył czterdziestkę, jest pederastą i prowadzi sklep z antykami na ulicy Sevres...
 - Z jakiego powodu wmieszał się w waszą grupę?
 - Nie wiem... To klient Vieux-Pressoir... Trzyma się nas... Dużo nie mówi, wydaje się szczęśliwy, że jest z nami...
 - Jest mu pan winien pieniądze?
 - Niedużo... Trzysta pięćdziesiąt franków.
- Dzwonek telefonu. Maigret podniósł słuchawkę.
- Halo, szefie. Lapointe chciałby z panem mówić. Przełączyć rozmowę do pana?
 - Nie, już idę...
- Wrócił do pokoju inspektorów.
- Prosił pan, abym zadzwonił, gdy skończymy, szefie. Lourtie i ja przepytaliśmy wszystkich sąsiadów, którzy mogliby coś usłyszeć. Zwłaszcza sąsiadki, bo większość mężczyzn jest jeszcze w pracy.
- Nikt nie przypomina sobie wystrzału. Są przyzwyczajeni do nocnych hałasów u Ricainów. Wielu lokatorów skarżyło się już dozorczyńni i miało zamiar napisać do właściciela posesji.
- Kiedyś koło drugiej nad ranem pewna staruszka nie spała, gdyż bolały ją zęby. Stojąc przy oknie, zobaczyła całkiem nagą kobietę, jak wyskakuje z kawalerki i biegnie po podwórku, goniona przez mężczyznę.
- Nie jest jedyną, która twierdzi, że w kawalerce Ricainów odbywały się orgie.
- Czy Sophie przyjmowała wizyty mężczyzn pod nieobecność męża?

- Wie pan, kobiety, które wypytywałem, nie wdawały się w szczegóły. Słowa, które powracały najczęściej to: dzikusy, ludzie bez wychowania, bez moralności. Co do dozorczyń, to czekała na termin płatności, aby powiadomić ich o wymówieniu, ponieważ mieli sześciomiesięczne zaległości i właściciel zdecydował, żeby ich usunąć, jeżeli nie zapłacą. Co mam robić?

- Zostań w kawalerce, dopóki nie przyjdę. Zatrzymaj Lourtie'ego ze sobą, może będę go potrzebował.

Wrócił do gabinetu, w którym siedzieli milcząco Janvier i Ricain.

- Niech mnie pan posłucha uważnie, Ricain. Sprawy tak się obecnie mają, że nie chcę prosić sędziego o nakaz przeciwko panu. Z drugiej strony nie przypuszczam, żeby chciał pan spać tej nocy na ulicy Świętego Karola.

- Nie mógłbym...

- Nie ma pan pieniędzy. Wolę nie widzieć pana błądzącego po mieście w poszukiwaniu jakiegoś przyjaciela, którego można by naciągnąć.

- Co pan ze mną zrobi?

- Inspektor Janvier zaprowadzi pana do skromnego hoteliku, niedaleko stąd, na wyspie Świętego Ludwika... Będzie pan mógł zamówić jedzenie do pokoju... Przechodząc obok drogerii lub apteki, niech pan sobie kupi mydło, żyletkę i szczoteczkę do zębów...

Komisarz mrugnął do Janviera.

- Wolę, żeby pan nie wychodził. Zresztą uprzedzam pana, że gdyby to się zdarzyło...

- Będę śledzony... Zrozumiałem... Jestem niewinny.

- Już pan to mówił...

- Nie ufa mi pan?

- Nie na tym polega mój zawód. Ja tylko czekam. Dobranoc.

Maigret zostawszy sam przez kilka minut przemierzał gabinet, zatrzymując się czasem przed oknem. Potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do żony, by ją powiadomić, że nie wróci na kolację.

Kwadrans później znajdował się w wagonie metra, którym dojechał do stacji Bir-Hakeim. Zastukał do drzwi kawalerki, otworzył mu Lapointe.

Odór formaliny nie ulotnił się jeszcze. Lourtie palił małe, bardzo mocne cygaro, siedząc w jedynym fotelu, jaki znajdował się w pokoju.

- Chce pan usiąść, szefie?

- Dziękuję. Przypuszczam, że nie odkryliście nic nowego?

- Zdjęcia... Jedno, na którym Ricainowie są razem na plaży... Inne przed ich samochodem...

Sophie była niebrzydka. Miała nieco naburmuszoną twarz, i bardzo nastroszone włosy. Na ulicy można było ją pomylić z tysiącami innych, które przyjmowały te same pozy i ubierały w

ten sam sposób.

- Nie ma wina, alkoholu?

- Jedna butelka z resztką whisky na dnie, tu w tej szafie...

Stara szafa była tak jak kufer i krzesła pozbawiona jakiegokolwiek stylu, ale biały, matowy kolor kontrastował z czarną podłogą i czerwonymi ścianami, czyniąc ją oryginalną.

Maigret w kapeluszu na głowie i z fajką w ustach otwierał drzwi, szuflady. Trochę ubrań. Wszystkiego trzy sukienki, tanie i krzykliwe. Spodnie rybaczeki, swetry z golfem...

Obok łazienki, ledwo większa od szafy kuchenka, z piecykiem gazowym i małych rozmiarów lodówką. Znalazł w niej zaczętą butelkę wody mineralnej, ćwiartkę masła, trzy jaja i kotlet w kleistym sosie.

Wszystko było wątpliwej czystości; ubrania, kuchnia, zwłaszcza łazienka, gdzie poniewierała się bielizna.

- Nikt nie dzwonił?

- Nie podczas naszej obecności.

Wieczne gazety musiały już powiadomić o zbrodni albo uczynią to niebawem.

- Niech Lourtie pójdzie coś przegryźć naprędce, a potem wróci i rozłoży się tu jak najwygodniej. Zrozumiałeś, mój drogi Lourtie?

- Zrozumiałem, szefie. Będę mógł się zdrzemnąć? Tymczasem Maigret i Lapointe udali się pieszo na poszukiwanie Vieux-Pressoir.

- Aresztował go pan?

- Nie. Torrence zaprowadził go do Cigognes, na wyspę Świętego Ludwika.

Nie po raz pierwszy umieszczali tam osobników, których pragnęli mieć na oku.

- Sądzi pan, że ją zabił?

- Jest wystarczająco inteligentny, a jednocześnie dość głupi, żeby to zrobić. Z drugiej strony...

Maigret szukał słów, ale ich nie znajdował. Rzadko kiedy ktoś intrygował go do tego stopnia, jak ten François Ricain. Na pierwszy rzut oka był tylko młodym, ambitnym człowiekiem, jakich wielu przyjeżdża codziennie do Paryża i do wszystkich stolic.

Przyszły nieudacznik? Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. W jego wieku sławni później ludzie klepali jeszcze biedę. Chwilami kusilo komisarza, żeby mu zaufać. Ale natychmiast wzdychał zniechęcony:

- Gdybym był jego ojcem...

Co by zrobił, mając takiego syna jak François? Próbował go utemperować, nauczyć moresu?

Na Montmartrze należałoby odwiedzić ojca Ricaina. Chyba że sam zgłosi się na Policję Kryminalną, gdy przeczyta gazety.

Idący obok w milczeniu Lapointe miał niewiele ponad dwadzieścia pięć lat. Maigret

porównywał w myślach obu mężczyzn.

- Wydaje mi się, że to tam, szefie, po drugiej stronie bulwaru.

Istotnie, widać było drzwi, a po bokach dwie śruby od prasy do owoców ze stoczonego przez robaki drewna, okna ozdobione firankami, przez które sączało się różowe światło z zapalonych już lamp.

* * *

Nie była to jeszcze pora na aperitif, a tym bardziej na kolację, i w sali znajdowały się zaledwie dwie osoby. Kobieta, siedząca na wysokim taborecie i sączała przez słomkę żółtawy napój, zaś po drugiej stronie baru właściciel, pochylony nad gazetą.

Światła były różowe, masywne stoły nakryte obrusami, ściany ozdobione w dwóch trzecich ciemnymi boazeriami.

Maigret, który szedł przed Lapointe'em, na widok mężczyzny z gazetą zmarszczył brwi, jak ktoś, kto szuka w pamięci.

Natomiast właścicielowi, który właśnie uniósł głowę, wystarczyła zaledwie chwila, żeby rozpoznać komisarza.

- Co za dziwny zbieg okoliczności... - zauważył bębniąc palcami po świeżym wydaniu gazety. - Właśnie czytałem, że prowadzi pan śledztwo...

I, zwracając się do dziewczyny:

- Fernando, przedstawiam ci komisarza Maigreta, we własnej osobie... Proszę usiąść, panie komisarzu... Czym mogę pana poczęstować?

- Nie wiedziałem, że został pan właścicielem restauracji.

- Gdy człowiek się starzeje...

Rzeczywiście, Bob Mandille musiał być mniej więcej w wieku Maigreta. Był czas, kiedy wiele się o nim mówiło. Co miesiąc gazety rozpisywały się o jego nowym wyczynie. A to spacer po skrzydłach samolotu w locie, a to skok ze spadochronem nad placem Zgody, z lądowaniem o kilka metrów od obelisku, a to znów przesiadka z galopującego konia do wyścigowego samochodu.

Kino uczyniło z niego jednego z najsłynniejszych kaskaderów, po nieudanych próbach wylansowania go na amanta. Stał się ofiarą niezliczonych wypadków i całe ciało musiał mieć pokryte bliznami.

Zachował szczupłą sylwetkę i elegancję. Tylko w ruchach dawało się dostrzec pewną sztywność, która przywodziła na myśl automat. Twarz była zbyt gładka, o za bardzo regularnych rysach, zapewne wynik operacji plastycznych.

- Szkocką?

- Piwo.

- Dla pana także, młodzieńcze?

Lapointe'owi wcale nie spodobało się, że tak został nazwany.

- Widzi pan, panie Maigret... Ustatkowałem się... Towarzystwa ubezpieczeniowe uważają, że jestem za stary, żeby ponosić z mojego powodu ryzyko i nie chcą mnie już w filmie... Tak więc poślubiłem Rose i zostałem właścicielem knajpy... Patrzy pan na moje włosy? Przypomina pan sobie zdjęcie, gdy zostałem oskalpowany śmigłami helikoptera i miałem głowę jak jajo?... Peruka, po prostu...

Zdjął ją wytwornym ruchem i pozdrowił jak kapeluszem.

- Zna pan Rose, prawda?... Długo śpiewała w Trianon-Lyrique... Rose Delval, tak się wtedy nazywała... Jej prawdziwe nazwisko brzmi Rose Vatan, co nie pasowało na afisz... A więc, co życzy pan sobie usłyszeć?

Maigret rzucił okiem na dziewczynę o imieniu Fernanda.

- Niech się pan nią nie przejmujecie... Jest jak mebel... Za dwie godziny tak się upije, że nie będzie w stanie zrobić kroku. Wówczas wsadzę ją do taksówki...

- Zna pan oczywiście Ricaina.

- Oczywiście... Pańskie zdrowie... Przepraszam, ale piję tylko wodę... Ricain przychodzi tu na kolację, raz lub dwa razy na tydzień...

- Z żoną?

- Z Sophie, oczywiście... Rzadko widuje się Francisę bez Sophie...

- Kiedy widział ich pan po raz ostatni?

- Zaraz... Jaki dziś mamy dzień?... Piątek... Zajrzeli w środę wieczorem...

- Z przyjaciółmi?

- Tego wieczoru nie było nikogo z ich paczki... Oprócz Makiego, o ile się nie mylę... Wydaje mi się, że Maki jadł w swoim kącie...

- Przysiedli się do niego?

- Nie... Francis uchylił drzwi i spytał, czy widziałem Carusa. A ja odpowiedziałem mu, że nie pokazał się od dwóch lub trzech dni...

- O której wyszli?

- Wcale nie wchodzili... Musieli zjeść kolację gdzie indziej... Gdzie jest teraz Francis?... Mam nadzieję, że go pan nie przymknął?...

- Dlaczego pan o to pyta?

- Właśnie przeczytałem w gazecie, że jego żona została zabita kulą z pistoletu i że on zniknął...

Maigret uśmiechnął się. To policjanci z XV dzielnicy, którzy nie byli zorientowani w sprawie, źle poinformowali reporterów.

- Kto panu powiedział o mojej restauracji?

- Ricain.

- A więc nie uciekł?

- Nie.

- Aresztowany?

- Też nie. Czy sądzi pan, że byłby zdolny zabić Sophie?

- Jest niezdolny do zabicia kogokolwiek... Jeżeli któregoś dnia miałby kogoś zabić, to tylko samego siebie...

- Dlaczego?

- Dlatego, że chwilami traci wiarę i zaczyna nienawidzić siebie... Właśnie w takich chwilach pije... Po kilku kieliszkach jest całkowicie zrozpaczony i przekonany, że jest nieudacznikiem i nieszczęściem dla żony...

- Płaci panu regularnie?

- Ma spory dług... Gdybym słuchał Rose, już od dawna nie dawałbym mu na kredyt... Dla Rose interesy to interesy... Co prawda, ma cięższą robotę niż ja, cały dzień przy kuchni... Jest tam w tej chwili i będzie jeszcze o dziesiątej wieczorem...

- Czy Ricain powrócił tego wieczoru?

- Chwileczkę... Później, gdy byłem zajęty przy jednym ze stolików... Poczułem przeciąg i odwróciłem się do drzwi... Były uchylone i wydawało mi się, że go zauważyłem, jak szuka kogoś wzrokiem...

- Znalazł?

- Nie...

- Która była godzina?

- Około jedenastej?... Słusznie pan robi nalegając... Tego wieczoru wrócił po raz trzeci, o wiele później... Czasami, już po kolacji, zostajemy, żeby pogadać ze stałymi gośćmi. Było już po północy w środę, gdy wszedł... Został przy drzwiach i dał mi znak, żebym podszedł...

- Czy znał klientów, z którymi pan rozmawiał?

- Nie... To byli ludzie teatru, dawni znajomi Rose. Rose przyłączyła się do nas, w fartuchu... Francis bardzo boi się mojej żony...

Spytał mnie, czy Carus przyszedł... Powiedziałem mu, że nie... A Gerard?... Gerard to Dramin, facet, o którym będzie głośno w kinie... Też nie... Wtedy wymamrotał, że potrzebuje dwóch tysięcy franków... Potrząsnąłem głową, że nie. Kilka kolacji, to jeszcze... Pięćdziesięcio- lub stufrankowy banknot przy okazji, w tajemnicy przed Rose, na to mogę sobie pozwolić... Ale dwa tysiące...

- Nie powiedział panu, dlaczego tak pilnie ich potrzebuje?

- Mieli go wyrzucić na bruk i zlicytować wszystko, co posiada...

- Czy to zdarzyło się po raz pierwszy?

- O to chodzi, że nie... Rose za bardzo się nie myli. On chętnie naciąga ludzi... Ale to nie taki cyniczny naciągacz, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Działa w dobrej wierze. Jest zawsze przekonany, że nazajutrz albo w następnym tygodniu podpisze wielki kontrakt... Tak bardzo wstydzi się prosić, że człowiekowi też wstyd odmówić...

- Czy był zdenerwowany?

- Widział go pan?

- Oczywiście.

- Zdenerwowanego czy spokojnego?

- Kłębek nerwów...

- No więc, nigdy go nie widziałem w innym stanie... Czasem aż ciężko patrzeć... Zaciska ręce, na twarzy ma grymas, o byle co się boczy, robi się zgorzkniały albo wpada w gniew... A jednak proszę mi wierzyć, komisarzu, to naprawdę bardzo porządny facet i nie zdziwiłbym się, gdyby mu się wreszcie udało i do czegoś doszedł...

- Co pan myśli o Sophie?

- Podobno nie należy źle mówić o zmarłych... Takich jak ona jest na pęczki, o ile mnie pan rozumie...

I wskazał oczyma dziewczynę siedzącą przy kontuarze, zatopioną w kontemplacji zawartości butelek.

- Zastanawiam się, co on w niej widział. Takich są tysiące. Identycznie ubrane, z takim samym makijażem, z brudnymi stopami i zdartymi obcasami włączają się od rana w zbyt obcisłych spodniach. Odżywiają się sałatą... żeby zostać modelkami albo gwiazdami filmowymi... Akurat!...

- Zagrała jakąś małą rolę...

- Za sprawą Waltera, oczywiście... - Kto to jest Walter?

- Carus... Gdyby policzyć wszystkie dziewczyny, które dostały swoje małe role...

- Co to za człowiek?

- Proszę zostać na kolacji, a prawdopodobnie go pan zobaczy... Co drugi wieczór zajmuje ten sam stół i zawsze kilka osób korzysta z jego gościnności... Producent... Zna pan tę śpiewkę... Osobnik, który znajduje pieniądze na rozpoczęcie filmu, potem pieniądze na jego kontynuowanie i w końcu, po miesiącach albo latach, pieniądze na jego ukończenie. Jest pół Anglikiem i pół Turkiem, co stanowi dosyć dziwne połączenie... Równy gość, prostolinijny, o donośnym głosie, zawsze gotów postawić kolejkę i po pięciu minutach zwracający się do każdego per „ty”.

- Był na ty z Sophie?

- Był na ty ze wszystkimi kobietami. Mówi do nich dziecinko, kotku, moja ty piękności, zależnie od chwili...

- Myśli pan, że się z nią przespał?

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej...

- Ricain nie był zazdrosny?

- Podejrzałem, że pan do tego nawiąże... Przede wszystkim, był nie tylko Carus... Wydaje mi się, że wszyscy pozostali też przez to przeszli... Nawet ja, gdybym chciał, chociaż mógłbym być jej dziadkiem... Nieważne... Wielokrotnie kłóciliśmy się z tego powodu z Rose... Jeżeli spyta pan Rose, będzie na nim wieszać psy. Powie, że to nierób, taki typ, co to udaje geniusza, odgrywa niezrozumianego, a jest tylko małym, wstrętnym alfonsem... To opinia mojej żony...

Co prawda, ona większość czasu przebywa w kuchni, więc zna go nieco gorzej niż ja... Próbowałem ją przekonać, że Francis o niczym nie wiedział...

- Wierzy pan w to?

Były kaskader miał jasnoniebieskie oczy, które przywodziły na myśl oczy dziecka. Mimo wieku i doświadczenia, jakie się w nim wyczuwało, zachował dziecięcą wesołość i wdzięk.

- Być może jestem naiwny, ale mam zaufanie do tego chłopaka... Bywały dni, gdy wątpiłem, gdy zaczynałem już myśleć jak Rose... Ale ciągle utwierdzałem się w mojej opinii: on naprawdę kocha tę dziewczynę... Kocha ją na tyle, żeby wierzyć we wszystko, w co ona mu każe...

Dowodem niech będzie sposób, w jaki pozwalał się traktować... Czasami wieczorem, gdy wypijała o kieliszek za dużo, przy pozostałych mówiła mu cynicznie, że jest zwykłym nieudacznikiem, zerem, bez charakteru, bez czego innego zresztą też, za przeproszeniem, i że się zastanawia, dlaczego traci czas z takim byle kim jak on...

- Znosił to?

- Kulił się w sobie i widać było krople potu perlące mu się na czole... Mimo to, starał się uśmiechać: „No już, Sophie... Chodź spać... Jesteś zmęczona...”

W głębi sali otworzyły się drzwi. Widać było, jak wyłania się z nich bardzo gruba kobieta, wycierająca ręce w szeroki fartuch.

- Coś takiego!... Komisarz...

A gdy Maigret zastanawiał się, gdzie mógł już ją spotkać, ponieważ nigdy nie chodził do Trianon-Lyrique, przypomniała mu.

- Dwadzieścia dwa lata temu... W pańskim gabinecie... Zatrzymał pan faceta, który zgarnął mi biżuterię z łoży... Trochę utylał od tamtego czasu... To właśnie dzięki tej biżuterii mogłam kupić tę restaurację... Prawda, Bob?... Cóż pan tu porabia?

Wskazując odruchowo gazetę, mąż powiadomił ją:

- Sophie nie żyje...

- Nasza Sophie, mała Ricain?

- Tak...

- Wypadek... Założę się, że to on prowadził i...

- Została zamordowana...
- Co on wygaduje, panie Maigret?
- Mówi prawdę...
- Kiedy to się stało?
- W środę wieczorem...
- Jedli tu kolację...

Z twarzy Rose znikł nie tylko dobry humor, który był jakby jej znakiem firmowym, ale również serdeczność.

- Co mu naopowiadałeś?
- Odpowiadałem na pytania...

- Założę się, że psy na niej wieszaleś... Proszę posłuchać, panie komisarzu. Bob to dobry chłop i tworzymy razem zupełnie udaną parę... Ale jeżeli chodzi o kobiety, nie trzeba go słuchać... Według niego, to wszystko dziwki, a mężczyźni są ich ofiarami... Ta biedna dziewczyna na przykład...

Spójrz na mnie, Bob... I kto miał rację?... Kto przejechał się na tamten świat, on czy ona?...

Zamilkła, patrząc na niego wyzywająco, z rękami na biodrach.

- Jeszcze raz to samo, Bob - wyszeptała Fernanda zmęczonym głosem.

Mandille, aby szybciej się uwolnić, podał jej podwójną porcję.

- Lubiała ją pani?

- Cóż mam panu powiedzieć? Wychowała się na prowincji... I to na dodatek w Concarneau, gdzie ojciec jest zegarmistrzem... Jestem pewna, że matka chodzi co rano na mszę...

Przyjeżdża do Paryża i trafia na bandę facetów, którzy uważają się za geniuszy, bo pracują w filmie albo w telewizji... Ja pracowałam w teatrze, proszę pana, co jest o wiele trudniejsze... Śpiewałam cały repertuar, ale z tego powodu nie zadzierałam nosa... Tymczasem ci mali kretyni...

- O kim właściwie pani mówi?

- O Ricainie, na początek, gdyż uważał się za najsprytniejszego ze wszystkich... Gdy udało mu się opublikować jakiś artykuł w piśmie czytany przez dwustu głupców, wyobrażał sobie, że za jego sprawą kino zadrży w posadach...

Zajął się tą małą... Podobno rzeczywiście się pobrali... Mógłby więc ją żywić, prawda?... Nie wiem, co by jedli, gdyby przyjaciele ich nie zapraszali i gdyby mój dumy mąż nie dawał im kredytu... Ile jest ci winien, Bob?

- Nieważne!

- Widzi pan... A tymczasem ja zaharowuję się na śmierć w kuchni...

Zrzędziła po to, żeby zrzędzić, co nie przeszkadzało jej spoglądać na męża z czułością.

- Sądzi pani, że była kochanką Carusa?

- Jakby jej potrzebował!... Nie dość mu było Nory...

- To jego żona?

- Nie... Chciałby się z nią ożenić, ale już ma żonę w Londynie, a ona nie chce słyszeć o rozwodzie... Nora...

- Jaka ona jest?

- Nie zna jej pan? Tej to nie będę bronić... Widzi pan, że nie jestem stronnicza... Zastanawiam się, co ci mężczyźni w niej widzą...

Ma co najmniej trzydzieści lat, a gdyby zmyć z niej wszystkie szminki, prawdopodobnie dałoby się jej czterdzieści... Jest szczupła, to prawda. Tak szczupła, że można jej policzyć żebra...

Czerń i zieleń wokół oczu - podobno, żeby dodać im tajemniczości, ale przez to ma tylko wygląd czarownicy... Bez ust, bo likwiduje wargi białą maścią... A na policzkach biel zielonkawa... Oto i Nora...

Jeżeli zaś chodzi o jej sposób ubierania się... Niedawno była tu w czymś w rodzaju pidżamy ze srebrnej lamy, tak obcisłej, że musiała przyjść do kuchni, żebym jej zaszyła pęknięcie w spodniach...

- Gra w filmie?

- Za kogo ją pan uważa?... Pozostawia to smarkulom... Jej marzenie to poślubić wielkiego międzynarodowego producenta, zostać pewnego dnia panią producentową...

- Przesadzasz... - westchnął Mandille.

- Mniej niż ty przed chwilą.

- Nora jest inteligentna, wykształcona, o wiele mądrzejsza niż Carus i bez niej nie odnosiłby prawdopodobnie takich sukcesów...

Od czasu do czasu Maigret odwracał się do Lapointe'a, który słuchał w milczeniu, tkwiąc nieruchomo przed barem, zapewne zdumiony i tym, co słyszał, i atmosferą Vieux-Pressoir.

- Zostaje pan na kolacji, panie Maigret? Może znajdę chwilę, żeby przyjść zamienić z panem kilka słów od czasu do czasu, jeżeli goście nie będą mnie zbyt popędzać... Mam małże... Nie zapomniałam, że urodziłam się w La Rochelle, gdzie moja matka była handlarką ryb i znam dobre przepisy... Czy już pan próbował garnka z Fourras?

Maigret wyrecytował:

- Zupa z węgorka, małych soli i mątwy...

- Często bywał pan w tamtych stronach?

- W La Rochelle, tak, i w Fourras...

- Postawić panu na ogniu taki garnek?

- Chętnie...

Gdy się oddaliła, Maigret mruknął:

- Pańska żona ma inne zdanie o ludziach niż pan... Gdybym jej posłuchał... pospieszyłbym

aresztować François Ricaina...

- Sądzę, że nie miałby pan racji...

- A widzi pan kogoś innego?

- Jako winowajcę?... Nie... Gdzie wtedy był Francis?

- Tutaj... I gdzie indziej... Utrzymuje, że przemierzył cały Paryż w poszukiwaniu Carusa, czy kogoś, kto byłby skłonny pożyczyć mu trochę pieniędzy... Chwileczkę... Mówił mi o jakimś klubie...

- Klub Zero, założę się...

- Właśnie, w pobliżu ulicy Jacob...

- Carus często tam chodzi... Pozostali z moich klientów również... Ostatnio to jeden z modnych klubów... To zmienia się co dwa czy trzy lata... Czasem trwa jeszcze krócej, kilka miesięcy... Nie po raz pierwszy Francis potrzebował pieniędzy i uganiał się za jednym lub kilkoma tysiącfrankowymi banknotami...

- Nigdzie nie znalazł Carusa.

- Zgłosił się do jego hotelu?

- Tak przypuszczam...

- W takim razie był w Enghien... Nora bardzo lubi grać... W zeszłym roku, w Cannes, zostawił ją samą w kasynie, a gdy do niej wrócił, sprzedała swoją biżuterię i wszystko przegrała... Jeszcze jedno piwo?... Nie woli pan starego porto?

- Wolę piwo. A ty, Lapointe?

- Porto... - wyszeptał czerwieniąc się inspektor.

- Pozwoli pan, że zadzwonię?

- W głębi, na lewo... Proszę zaczekać... Dam panu żetony... Wziął kilka z kasy i podał, nie licząc, Maigretowi.

- Halo!... Pokój inspektorów? Kto przy aparacie? - Torrence? Nic nowego? Nikt do mnie nie dzwonił? Moers? Zadzwonię do niego, jak skończę rozmawiać z tobą...

Dzwonił do ciebie Janvier? Jest ciągle w hotelu Cigognes... Facet śpi?... Dobrze... Tak... Dobrze... To ty idziesz go zastąpić na straży? Zgoda, stary... Dobranoc... Mimo wszystko, mniej się na baczności...

Jeżeli się obudzi, nie wiadomo jaki pomysł przyjdzie mu do głowy... Chwileczkę... Czy zechciałbyś zadzwonić do brygady rzecznej?...

Trzeba, żeby jutro rano wysłali pływonurków pod most Bir-Hakeim... Trochę w górę rzeki, najwyżej jakieś czterdzieści metrów, powinni znaleźć pistolet, który został wrzucony z brzegu... Tak... Powiedz, że to ode mnie...

Rozłączył się i wykręcił numer laboratorium.

- Moers?... Podobno szukał mnie pan?... Znalazł pan kulę w ścianie?... Słucham?...

Prawdopodobnie kaliber 6,35?... Wyślijcie ją więc do Gastinne-Renette'a... Możliwe, że jutro będziemy mogli pokazać mu broń... A odciski?... Domyślam się. - Wszędzie po trochu... Obojga... I wielu innych osób... Mężczyzn i kobiet?... To mnie nie dziwi, bo chyba nie za często sprząтали... Dziękuję, Moers... Do jutra...

Francis Ricain spał wycieńczony w małym pokoiku na wyspie Świętego Ludwika. Tymczasem zaś Maigret miał zjeść kociołek smaczonej zupy rybnej w restauracji, gdzie młode małżeństwo spotykało się często ze swoją paczką.

Wychodząc z kabiny, nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy nagle przebudzona Fernanda przemawiała z ożywieniem do Lapointe'a, który nie wiedział, jak się zachować.

IV

Był to dziwny wieczór, pełen ukradkowych spojrzeń, szeptów, krzątaniny na niewielkiej przestrzeni, w różowym świetle i wśród apetycznych zapachów kuchennych Vieux-Pressoir.

Maigret usadowił się w towarzystwie Lapointe'a obok drzwi wejściowych w czymś na kształt zagłębienia, gdzie stał mały stolik na dwie osoby.

- To stolik, który zajmowali Ricain i Sophie, gdy nie siedzieli razem z innymi - powiedział Mandille.

Lapointe był zwrócony plecami do sali i czasem, gdy Maigret sygnalizował mu coś ciekawego, odwracał głowę, jak tylko mógł najdyskretniej.

Zupa była smaczna, podana z rzadko spotykanym białym wytrawnym i mocnym winem z dorzecza Charente, służącym do wyrobu koniaku.

Były kaskader zachowywał się niczym pan domu, przyjmując swoich klientów jak gości, których witał przy wejściu. Żartował, całował panie w rękę, prowadził do stolika i podawał kartę, zanim przybyłymi zajął się kelner.

Prawie za każdym razem podchodził później do Maigreta.

- Architekt z żoną... Przychodzą co piątek, czasem z synem, który studiuje prawo...

Po architekcie zjawili się dwóch lekarzy z żonami, których posadził przy czteroosobowym stoliku. Również stali bywalcy.

Jeden z nich miał wkrótce zostać wezwany przez telefon i zaledwie po kilku minutach zabrał z szatni swoją torbę, przeprosiwszy resztę towarzystwa.

Sam w swoim kącie, rzeźbiarz Maki jadł z wielkim apetytem, posługując się palcami częściej, niżby to wypadło.

Było wpół do dziewiątej, gdy wszedł chłopak o ciemnych włosach i chorowitym wyglądem, i wyciągnął do niego rękę na powitanie. Nie usiadł przy tym samym stoliku, ale na wyściełanej ławeczce. Przed sobą położył odbity na powielaczu rękopis.

- Dramin - oznajmił Bob. - Ma zwyczaj pracować przy jedzeniu. To jego ostatni scenariusz, który kazano mu już przerabiać trzy czy cztery razy...

Klienci w większości znali się przynajmniej z widzenia i dawali sobie na odległość dyskretne znaki.

Dzięki dostarczonemu mu opisom, Maigret natychmiast rozpoznał Carusa, a zwłaszcza Norę, która z trudem mogła przejść nie zauważona.

Tego wieczoru nie nosiła spodni z lamy, ale obcisłą sukienkę z materiału tak przezroczyściego, że wydawała się naga.

W twarzy, upudrowanej niczym twarz Pierrota, dostrzegało się właściwie jedynie oczy jak węgielki, podkreślone nie tylko czarnym i zielonym kolorem, ale także lśniącymi w świetle

dżetami.

W jej sylwetce, spojrzeniu i pozach było coś widmowego, przez co kontrast z witalnością zażywnego, solidnie zbudowanego, o zdrowej i uśmiechniętej twarzy Carusa, był jeszcze bardziej jaskrawy.

Gdy Nora podążyła za Bobem do stolika, Carus uściśnął dłonie Makiemu, potem Draminowi, lekarzowi, który został w restauracji i obu kobietom.

Gdy on z kolei usiadł. Bob nachylił się, żeby powiedzieć kilka słów. Carus poszukał wzrokiem Maigreta i spojrzał na niego z zaciekawieniem. Można było sądzić, że wstanie i podejdzie uściśnąć dłoń także komisarzowi, ale zaczął od studiowania karty, którą wsunęło mu do ręki i omawiania z Norą jadłospisu.

Gdy Mandille powrócił do kącika Maigreta, komisarz wyraził swoje zdziwienie.

- Sądziłem, że cała paczka gromadzi się wokół jednego stolika?

- To się zdarza... W inne wieczory każdy zostaje w swoim kącie... Czasami zbierają się razem dopiero przy kawie... Gdy mają ochotę, siadają wszyscy razem... Klienci czują się tu jak u siebie... Prawie nie mamy przypadkowych gości i wcale nam na tym nie zależy...

- Wszyscy wiedzą?

- Czytali gazetę albo słyszeli w radiu, oczywiście...

- I co mówią?

- Nic... To był dla nich cios... Pańska obecność tutaj musi ich krępować... Co pan zamawia po zupie? Żona poleca udziec barani, z barana tuczonego na nadmorskich łąkach...

- Udziec, Lapointe?... A więc udziec dla nas obu...

- Do tego karafkę czerwonego bordeaux?

Przez zasłony widać było światła bulwaru, przechodniów idących mniej lub bardziej pospiesznie, czasem objętą parę, która zatrzymywała się co parę kroków, aby wymienić uścisk lub miłosne spojrzenia.

Dramin zgodnie z zapowiedzią Boba jadł, przeglądając rękopis. Czasem wyciągał ołówek z kieszeni, aby dokonać jakiejś poprawki. Był jedynym spośród przyjaciół Ricaina, który zdawał nie przejmować się policjantami.

Miał na sobie ciemny garnitur seryjnej produkcji, białe krawaty. Można go było wziąć za księgowego lub kasjera bankowego.

- Carus zastanawia się, czy podejść i porozmawiać ze mną - oznajmił Maigret, który obserwował parę. - Nie wiem, co mu Nora doradza po cichu, ale on się z nią nie zgadza.

Wyobrażał sobie poprzednie wieczory, wchodzącego François Ricaina z Sophie, którzy szukali wzrokiem przyjaciół, zastanawiając się, czy zostaną zaproszeni do jakiegoś stolika, czy też będą jedli sami w swoim kącie. Czy nie wyglądali na ubogich krewnych?

- Ma pan zamiar pójść ich przesłuchać, szefie?

- Nie od razu. Po udźcu.

Było bardzo gorąco. Lekarz wezwany do łóżka chorego już wrócił. Z jego mimiki można było odgadnąć, że fatygowano go na próżno.

Co stało się z Fernandą, wysoką, pijaną dziewczyną przyczepioną do baru? Bob musiał się jej pozbyć. Prowadził teraz rozmowę z trzema lub czterema klientami, którzy wpadli tylko na drinka. Wszyscy byli na ty i wyglądali na bardzo rozbawionych.

- Kobieta - widmo daje znaki mężowi.

Rzeczywiście, mówiła coś do Carusa po cichu, nie spuszczać Maigreta z oczu i dając rady mężowi. Jakie to były rady?

- Jeszcze się waha. Pali się, żeby do nas podejść, ale ona mu w tym przeszkadza. Sądzę, że do nich pójde...

Istotnie, Maigret podniósł się ociężale i wytarłszy usta serwetką przecisnął się między stolikami. Para patrzyła, jak się zbliża; Nora nieporuszona, Carus z widocznym zadowoleniem.

- Nie przeszkadzam państwu?

Producent wstał, z kolei on wytarł usta i wyciągnął rękę.

- Walter Carus... Moja żona...

- Komisarz Maigret.

- Wiem... Zechce pan usiąść?... Czy mogę poczęstować pana kieliszkiem szampana?... Moja żona pije tylko szampana i ma rację... Józefie!... Kieliszek dla komisarza...

- Niech państwo nie przerywają posiłku...

- Nie muszę panu mówić, że znam przyczynę pańskiej obecności tutaj... Dowiedziałem się o tym przed chwilą, z komunikatu radiowego, gdy wpadłem do hotelu wziąć prysznic i przebrać się...

- Znał pan dobrze małżeństwo Ricainów?

- Dostyc dobrze... Wszyscy się tutaj znamy... On w pewnym sensie pracował dla mnie. To znaczy włożyłem trochę pieniędzy w film, przy realizacji którego współpracował...

- Jego żona nie zagrała jakiejś niewielkiej roli w innym z pana filmów?

- Wyleciało mi z głowy... To było raczej statystowanie...

- Chciała zostać aktorką filmową?

- Nie na serio... Nie sądzą... Większość dziewcząt w pewnym wieku ma ochotę zobaczyć się na ekranie...

- Miała talent?

Maigret odniósł wrażenie, że Nora trąciła Carusa nogą, by go ostrzec.

- Wyznam panu, że nie wiem... Nie sądzą nawet, żeby zrobiono jej próbne zdjęcia.

- A Ricain?

- Pyta pan, czy ma talent?

- Jaki to człowiek, w sensie zawodowym?

- Co byś odpowiedziała, Noro?

A ona rzuciła lodowato:

- Nic...

Zabrzmiało to dość niezręcznie i Carus pospieszył z wyjaśnieniem:

- Proszę się nie dziwić... Nora jest trochę medium... Natychmiast nawiązuje kontakt z pewnymi ludźmi, a w przypadku innych dzieje się odwrotnie... Niech pan wierzy lub nie, ale ten dar - nie znajduję innego słowa - często oddawał mi usługi w interesach, nawet na giełdzie...

Noga pod stołem znów pracowała.

- Z Francisem kontakt nigdy nie został nawiązany... Osobiście uważam go za inteligentnego, zdolnego i chętnie bym się założył, że zrobi wielką karierę...

Niech pan weźmie na przykład Dramina, zatopionego tam w lekturze scenariusza. To poważny chłopak, wykonujący swoją pracę tak porządnie, jak to tylko możliwe... Czytałem doskonale dialogi jego autorstwa... A jednak, chyba że się zupełnie mylę, nigdy nie zostanie wielkim reżyserem... Potrzebuje nie tylko kogoś, kto by nim pokierował, ale kto by dorzucił mu niezbędną iskierkę...

Był zachwycony słowem, które znalazł.

- Iskra!... Oto, czego najczęściej brak, a co jest niezbędne, zarówno w kinie, jak i w telewizji... Setki specjalistów dostarczą panu porządnie wykonaną robotę, dobrze zbudowaną historię, bezbłędny dialog... Tylko prawie zawsze, z braku tego czegoś, wynik jest płaski i szarawy... Iskra, rozumie pan?

Otóż nie można liczyć na Francisa, że dostarczy coś porządnego... Jego pomysły są często dziwaczne... Przedstawił mi już sam nie wiem ile projektów, które wystarczyłyby, żeby mnie zrujnować... Czasami, natomiast, posiada tę iskrę...

- W jakiej dziedzinie?

Carus podrapał się zabawnie po nosie.

- Oto pytanie... Mówi pan jak Nora... Czasem wieczorem, pod koniec kolacji, zaczyna się wypowiadać w taki sposób, z takim przekonaniem i rozgorączkowaniem, że będzie pan przekonany, iż ma do czynienia z geniuszem... Nawet jeżeli nazajutrz rano miałby pan spostrzec, że to, co panu powiedział, nie trzyma się kupy... Jest młody... To się ułoży...

- Czy obecnie pracuje dla pana?

- Poza tym, że pisze znakomite, chociaż trochę bezlitosne recenzje, nie pracuje dla nikogo... Aż kipi od pomysłów, wymyśla jednocześnie kilka filmów, ale nigdy żadnego nie kończy...

- I prosi pana o pożyczki...

Nogi pod stołem ciągnęły swoją niemą rozmowę.

- Widzi pan, panie komisarzu, nasz zawód nie jest taki jak inne... Ciągłe poszukujemy

talentów, zarówno artystów, jak i scenarzystów i realizatorów... Nie oplaca się brać bardzo znanego reżysera, który wiecznie będzie robił ten sam film, a jeśli chodzi o gwiazdy, to trzeba wciąż szukać nowych twarzy...

Toteż jesteśmy zmuszeni stawiać na pewną liczbę obiecujących młodych ludzi... Stawiać umiarkowanie, inaczej zostalibyśmy szybko zrujnowani... Tysiącfrankowy banknot to tu, to tam, próbne zdjęcia, słowo zachęty...

- W sumie, jeżeli dosyć łatwo pożyczał pan pieniądze Ricainowi, to tylko dlatego, że miał pan nadzieję pewnego dnia wyjść na swoje...

- Bez zbytnej wiary...

- A Sophie?

- Nie zajmowałem się jej karierą...

- Czy miała nadzieję, że stanie się gwiazdą?

- Proszę nie żądać ode mnie więcej, niż mówię... Zawsze w towarzystwie męża i niezbyt rozmowna... Sądzę, że była nieśmiała...

Ironiczny uśmiech rozciągnął blade wargi Nory.

- Moja żona jest innego zdania, a ponieważ mam większe zaufanie do jej sądu niż do własnego, proszę nie przywiązywać znaczenia do mojej opinii...

- Jakie były stosunki między Sophie i Francisem?

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Udał zdziwienie.

- Czy wyglądali na bardzo ze sobą związanych?

- Rzadko widywało się jedno bez drugiego i nie przypominam sobie, żeby kłócili się w mojej obecności...

Zagadkowy uśmiech powrócił na usta Nory.

- Może była trochę niecierpliwa...

- W jakim sensie?

- On wierzył w swoją gwiazdę, w swoją przyszłość, która jawiła mu się wspaniała i prawie natychmiastowa... Przypuszczam, że poślubiając go wyobrażała sobie zostać wkrótce żoną sławnego człowieka... Sławnego i bogatego... Tymczasem, po ponad trzech latach, wciąż klepali biedę, a ona nie miała co na siebie włożyć...

- Czy mu to wyrzucała?

- O ile mi wiadomo, nie wobec ludzi...

- Czy miała kochanków?

Nora zwróciła się w stronę Carusa, jakby oczekując z zaciekawieniem odpowiedzi.

- Stawia mi pan pytania, które...

- Dlaczego nie powiesz prawdy?

Po raz pierwszy zrezygnowała z sygnałów pod stołem i zabrała głos.

- Żona robi aluzję do pewnego epizodu bez znaczenia...

- Zależy dla kogo... - wtrąciła Nora szorstko.

- Pewnego wieczoru, gdy piliśmy...

- Gdzie to się działo?

- W Raphaelu... Po wyjściu stąd... Był z nami Maki... Dramin też... Poza tym pewien fotograf, Huguet, który pracuje dla agencji reklamowej... Wydaje mi się, że towarzyszył nam Bob...

W hotelu zamówiłem do pokoju szampana i whisky... Później udałem się do łazienki i musiałem przejść przez naszą sypialnię, gdzie paliły się tylko lampki nocne...

Znalazłem tam Sophie, wyciągniętą na jednym z bliźniaczych łóżek... Myśląc, że jest chora, nachyliłem się...

Uśmiech Nory stawał się coraz bardziej sarkastyczny.

- Płakała... Z największą trudnością udało mi się wyciągnąć z niej kilka słów... Wyznała, że jest zrozpaczona i pragnie się zabić...

- W jakiej pozie zastałam was oboje?

- Bezwiednie wziąłem ją w ramiona, to prawda, tak jak się pociesza dziecko...

- Pytałem, czy miała kochanków. Nie myślałem w szczególności o panu.

- Pozowała nago Makiemu, ale jestem przekonany, że Maki nie tknąłby żony przyjaciela...

- Czy Ricain był zazdrosny?

- Za dużo pan ode mnie wymaga, panie Maigret... Pańskie zdrowie!... To zależy, co pan rozumie przez zazdrość... Przypuszczam, że nie chciałby stracić swojego wpływu na nią czy, żeby inny mężczyzna nabrał w jej oczach większego znaczenia niż on... W tym sensie był zazdrosny o przyjaciół... Jeżeli na przykład zapraszałem Dramina na kawę do naszego stolika nie zapraszając jednocześnie jego, gniewał się na mnie przez tydzień...

- Sądzę, że rozumiem...

- Nie zamówił pan deseru?

- Prawie nigdy nie zamawiam deseru...

- Nora też nie... Bob! Co mi radzisz na deser?

- Płonące naleśniki z maraskino?

Carus popatrzył zabawnie na swój zaokrąglony brzuch.

- Trochę mniej czy trochę więcej... Niech będą naleśniki!... Dwa lub trzy... Raczej z armaniakiem niż z maraskino...

W tym samym czasie biedny Lapointe, siedząc tyłem do sali, nudził się przy swoim stoliku. Maki czyścił zęby zapałką, zastanawiając się zapewne, czy nadejdzie jego kolej i zobaczy zasiadającego naprzeciwko siebie komisarza.

Stolik lekarzy był najweselszy. Od czasu do czasu jedna z kobiet wybuchała przeraźliwym śmiechem, który sprawiał, że Nora wzdrygała się.

Rose opuściła na chwilę kuchnię, aby obejść gości przy stolikach, wycierając przed podaniem ręce o fartuch. Ona także, podobnie jak lekarze, była w dobrym humorze, którego nie popsuła śmierć Sophie.

- A więc, Walterze, stary łajdaku?... Czemuż to nie widzieliśmy cię tu od środy?

- Musiałem skoczyć samolotem do Frankfurtu, zobaczyć się z jednym z moich wspólników, a stamtąd poleciałem do Londynu...

- Towarzyszyłaś mu, moja mała?

- Tam razem nie... Miałam przymiarkę...

- Nie boisz się pozwalać mu na samotne podróże?

Oddaliła się ze śmiechem, zatrzymując przy innych gościach, a potem przy następnych. Bob zapalał naleśniki na małym stoliku.

- Rozumiem teraz, dlaczego Ricain szukał pana na próżno przez część nocy... - odezwał się.

- Dlaczego mnie szukał?

- Dowiedziałem się o tym przed chwilą od komisarza... Potrzebował natychmiast dwóch tysięcy franków... Przeszedł tu w środę i pytał o pana...

- Odleciałem samolotem o piątej...

- Wracał dwa razy... Chciał, żebym mu pożyczył tę sumę, ale była dla mnie za wysoka...

Potem poszedł do klubu...

- Dlaczego potrzebował dwóch tysięcy franków?

- Właściciel groził, że go wyrzuci...

Carus zwrócił się do komisarza.

- To prawda?

- Tak mi opowiadał...

- Aresztował go pan?

- Nie... Dlaczego?

- Nie wiem. Rzeczywiście, idiotyczne pytanie z mojej strony...

- Myśli pan, że mógłby zabić Sophie?

Nogi, wciąż te nogi! Dosłownie można było śledzić ich mowę pod stołem, gdy tymczasem twarz Nory pozostawała nieruchoma.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mógł zabić kogokolwiek... Jaką bronią się posłużono?... W gazecie nie mówią o tym... W radiu też nie...

- Pistoletem...

- Francis nigdy nie posiadał broni palnej...

- Ależ tak! - wtrąciła bezdźwięcznym i rzeczowym głosem Nora. - Widziałeś ją. Tamtej nocy

u niego nawet się przestraszyłeś... Dużo wypił i właśnie opowiadał scenę napadu... Nałożył na głowę pończochę Sophie i zaczął nam wygrażać pistoletem rozkazując, żebyśmy przywarli do ściany z rękami do góry... Wszyscy posłuchali, dla zabawy... Tylko ty się przestraszyłeś i spytałeś, czy broń jest nabita...

- Masz rację... Przypominam sobie... Nie przywiązywałem do tego wagi... Sam sporo wypłem...

- W końcu odłożył broń do szuflady w komodzie...

- Kto był wtedy obecny? - spytał Maigret.

- Cała paczka... Maki, Dramin, Pochon... Dramin był z dziewczyną, której nigdy przedtem nie widziałem... Zresztą źle się czułem i prawie godzinę spędziłem w toalecie...

- Jacques był tam też...

- Z tą swoją nową, która jest już w ciąży...

- Czy komuś wiadomo, że prawdopodobnie w ubiegłym roku Sophie też była w ciąży?

Dlaczego Nora zwróciła się gwałtownie w stronę Carusa? Ten spojrział na nią zaskoczony.

- Wiedziałaś o tym?

- Nie. Jeżeli urodziła dziecko...

- Nie urodziła - wyjaśnił komisarz. - Pozbyła się go między trzecim a czwartym miesiącem...

- Nic nie było widać...

Maki pokasływał w swoim kącie, jakby przywołując Maigreta do porządku. Minęła już dobra chwila, jak skończył jeść i niecierpliwił się.

- Powiedzieliśmy panu wszystko, co wiemy, panie komisarzu... Jeżeli będzie mnie pan potrzebował, proszę przyjść do biura...

Czy rzeczywiście mrugnął do niego, wyciągając z portfela wizytówkę i podając mu ją?

Maigret odniósł wrażenie, że Carus chciał jeszcze powiedzieć o wielu sprawach, ale przeszkadzała mu w tym obecność Nory.

* * *

Maigret zasiadłszy znowu w swoim kącie nareszcie zaczął nabijać fajkę. Lapointe oznajmił mu z lekkim uśmiechem:

- Jeszcze się waha, ale zaraz wstanie...

Mówił o Makim. Nie mogąc patrzeć na salę, gdyż odwrócony był do niej plecami, inspektor obserwował rzeźbiarza, który jako jedyny znajdował się w jego polu widzenia.

- Najpierw, gdy usiadł pan przy stoliku Carusów, zmarszczył te swoje gęste brwi, a potem wzruszył ramionami... Stała przed nim karafka czerwonego wina... Po niespełna pięciu minutach opróżnił ją i dał znak kelnerowi, żeby podał mu następną...

Nie uronił ani jednego pana gestu, ani jednej reakcji... Można by powiedzieć, że starał się czytać z ust...

Niebawem zaczął się niecierpliwić... W pewnej chwili przywołał właściciela i rozmawiał z nim po cichu... Obaj patrzyli w waszą stronę...

Potem już prawie wstał, spojrzawszy na zegarek... Sądziłem, że wyjdzie, ale on zamówił armaniak, który mu podano w kieliszku do degustacji... Idzie!...

Lapointe nie mylił się. Maki, zapewne zirytowany, że Maigret nie objawia zamiaru pofatygowania się do niego, zdecydował się podejść sam. Stał tak przez chwilę, olbrzymi, przed obu mężczyznami.

- Przepraszam - wyszeptał, podnosząc rękę do skroni w nieokreślonym geście pozdrowienia.

- Chciałem uprzedzić, że wychodzę...

Maigret zapalał fajkę.

- Proszę usiąść, panie Maki. Czy to pana prawdziwe nazwisko?

Siadając ociężale, mężczyzna wymamrotał:

- Oczywiście, że nie... Nazywam się Lecoeur... To nie jest nazwisko dla rzeźbiarza... Nikt nie traktowałby mnie poważnie...

- Wiedział pan, że mam ochotę z panem porozmawiać?

- No, skoro też jestem kumplem Francisa...

- A nie Sophie?

Nie był pijany, ale miał zaróżowione policzki, błyszczące oczy, a ruchy zbyt namaszczone.

- Sophie była dziwką...

Popatrzył na nich kolejno, jakby chcąc sprowokować do zaprzeczenia.

- Co wam naopowiadał pan Carus?

Wymawiał to nazwisko ironicznie, jak komik w cyrku.

- Że nic nie wie. A pan?

- Co chciałby pan, żebym wiedział?

- Kiedy widział pan po raz ostatni Francisa Ricaina i jego żonę?

- Jego, w środę...

- Bez niej?

- Był sam.

- O której?

- Około wpół do jedenastej... Rozmawiał ze mną, zanim podszedł do Boba... Skończyłem już kolację i delektowałem się armaniakiem...

- Co panu powiedział?

- Spytał, czy wiem, gdzie można znaleźć Carusa... Ja też pracuję dla tego pana... Powiedzmy tak jakby... Potrzebował makiety do jakiegoś durnego filmu, filmu grozy, i dostarczyłem mu coś

niebanalnego...

- Zapłacił panu?

- Połowę ustalonej ceny... Czekam na drugą połowę...

- Czy Francis powiedział panu, dlaczego chciał się zobaczyć z Carusem?

- Dobrze pan wie dlaczego... Potrzebował dwóch patyków... Ja ich nie miałem.... Postawiłem mu kieliszek i wyszedł...

- Od tamtej pory nie widział go pan?

- Ani jego, ani jej... Co panu naopowiadała Nora?

- Nic takiego... Nie wydaje mi się, żeby nosiła Sophie w sercu...

- Nigdy tam nikogo nie nosiła... Nic dziwnego, że ma takie płaskie piersi... Przepraszam...

Niezbyt to dowcipne... Nie znoszę jej... Jego też nie, mimo tych uśmiechów i uścisków dłoni... Na pierwszy rzut oka nie pasują do siebie. On sam miód, ona zaś ocet, ale w rzeczywistości są siebie warci...

Gdy ktoś się może im przydać, wyciskają z niego ostatnie soki, a potem wyrzucają, jak skórkę pomarańczy...

- Tak było z panem?

- Co panu powiedzieli o Francisie? Nie odpowiedział mi pan...

- Carus zdaje się darzyć go wielkim poważaniem...

- A ona?

- Nie lubi go...

- Mówili panu o Sophie?

- Opowiedzieli mi historię o sypialni i pewnej nocy w Raphaelu, gdy wszyscy pili...

- Byłem tam...

- Podobno między Carusem a Sophie nic się nie wydarzyło...

- Akurat!

- Widział ich pan?

- Przechodziłem dwa razy przez sypialnię, żeby pójść do toalety, ale tak, że niczego nie zauważyli... Ze mną też próbowała... Chciała, żebym ją wyrzeźbił. Ja, abstrakcjonista!... W końcu się zgodziłem, żeby się od niej uwolnić...

- Był pan jej kochankiem?

- Musiałem się z nią przespać, ale przez grzeczność... Miałaby do mnie żal, gdybym tego nie zrobił... Nie byłem z tego dumny, z powodu Francisca... Nie zasługiwał na poślubienie dziwki...

- Czy panu też mówiła o swoich myślach samobójczych?

- Ona i samobójstwo? Przede wszystkim gdy kobieta o tym mówi, można mieć pewność, że tego nigdy nie zrobi... Odgrywała komedię... Ze wszystkimi... Dla każdego miała inną rolę...

- Francis wiedział o tym?

- Jeśli chce pan znać moje zdanie, podejrzewał... Przymykał oczy, ale się wściekał... Czy rzeczywiście ją kochał? Są chwile, kiedy się nad tym zastanawiam... Udawał... Był za nią odpowiedzialny i nie chciał jej porzucić... Musiała mu wmówić, że się zabije, jeżeli ją opuści...

- Sądzi pan, że ma talent?

- Więcej niż talent... Z nas wszystkich jedynie on dokona czegoś ważnego... Jestem niezły, ale znam granice własnych możliwości... Natomiast gdy on pewnego dnia weźmie się do roboty...

- Dziękuję, panie Maki...

- Po prostu Maki. Do tego nazwiska nie pasuje słowo pan...

- Dobranoc, Maki...

- Dobranoc, komisarzu... A ten tutaj, to jak przypuszczam jeden z pańskich inspektorów?... Dobranoc także...

Oddalił się ciężkim krokiem po pożegnalnym skinieniu głową w stronę Boba. Maigret otarł czoło.

- Został jeszcze jeden, Dramin, zatopiony w swoim scenariuszu, ale na dziś wieczór mam dosyć...

Poszukał wzrokiem kelnera i poprosił o rachunek. Tymczasem pospieszył do nich Mandille:

- Byliście panowie moimi gośćmi...

- Niemożliwe... - westchnął Maigret.

- Więc niech przynajmniej zgodzi się pan na lampkę armaniaku.

Nie było wyjścia.

- Czy zdobył pan ciekawe informacje?

- Zaczynam orientować się w grupie...

- Teraz nie wszyscy tu są... Atmosfera zmienia się zależnie od dnia... W pewne wieczory jest wesoła, czasem rozpasana... Nie rozmawiał pan z Gerardem?...

Wskazał na Dramina, który kierował się do drzwi.

- Hej, Gerardzie... Przedstawiam ci komisarza Maigreta i jednego z jego inspektorów... Napijiesz się z nami kieliszek?

Dramin jako silny krótkowidz nosił grube szkła i pochylał głowę do przodu.

- Bardzo mi miło... Przepraszam bardzo... ale nie, mam pewną pracę do skończenia... A propos, czy aresztowano Francisa?

- Nie... Dlaczego?

- Sam nie wiem... Proszę mi wybaczyć...

Zdjął kapelusz z wieszaka i otworzył drzwi, aby wyjść na ulicę.

- Nie trzeba zwracać uwagi... Zawsze taki jest... Sądzę, że to poza, sposób na dodanie sobie powagi... Odgrywa roztargnionego samotnika... Może ma żal, że nie podszedł pan do niego... Przysięgłbym, że nie przeczytał ani linijki przez cały wieczór...

- Pańskie zdrowie... - mruknął Maigret. - Jeżeli o mnie chodzi, to pilno mi znaleźć się w łóżku...

A jednak zaszedł w towarzystwie Lapointe'a na ulicę Świętego Karola i zapukał lekko do drzwi kawalerki. Otworzył im Lourtie. Był bez marynarki i miał potargane włosy. Pokój oświetlała jedynie nocna lampka, a zapach środka dezynfekcyjnego jeszcze się nie ulotnił.

- Nie było nikogo?

- Dwóch dziennikarzy... Nic im nie powiedziałem, tylko poradziłem, żeby zwrócili się do Policji Kryminalnej...

- Żadnych telefonów?

- Dzwoniono dwa razy.

- Kto?

- Nie mam pojęcia... Usłyszałem dzwonek, podniosłem słuchawkę i krzyknąłem: halo... Po drugiej stronie usłyszałem czyjś oddech, ale nikt się nie odezwał i zaraz się rozłączono...

- Dwukrotnie to samo?

- Tak.

- Koło której godziny?

- Pierwszy raz koło ósmej trzydzieści, drugi przed chwilą...

Kilka minut później Maigret drzemał w małym czarnym samochodzie, który wioził go do domu.

- Jestem wycieńczony - wyznał żonie, zaczynając się rozbierać.

- Mam nadzieję, że zjadłeś dobrą kolację?

- Za dobrą... Będę musiał zaprosić cię do tej restauracji... Prowadzi ją była śpiewaczka opery komicznej, która zajęła się kuchnią... Robi taką zupę rybną...

- O której jutro?

- O siódmej.

- Tak wcześnie?

Rzeczywiście wcześnie, gdyż siódma wybiła natychmiast, bez uprzedzenia. Maigret nie czuł nawet, że usnął, a już poczuł zapach kawy i rękę żony dotykającą jego ramienia przed rozsunieniem zasłon.

Słońce świeciło jasno i nadal było ciepło. Wspaniale jest otworzyć okno zaraz po przebudzeniu i usłyszeć świergot wróbli.

- Przypuszczam, że nie powinnam liczyć na ciebie w południe?

- Wątpię, żebym miał czas wrócić na obiad... Dziwna historia... Dziwni ludzie... Jestem po uszy w świecie filmu i tak jak w filmie wszystko zaczęło się od gagu - kradzieży mojego portfela...

- Myślisz, że on ją zabił?

Pani Maigret, znająca sprawę jedynie z gazet i z radia, natychmiast pożałowała tego pytania.

- Przepraszam cię...

- W każdym razie i tak trudno byłoby mi odpowiedzieć...

- Nie bierzesz płaszcza?

- Nie... Pogoda jest taka jak wczoraj, a wczoraj nie było mi zimno... Nawet gdy wracałem w nocy...

Nie poczekał na autobus, ale zawołał taksówkę i kazał się zawieźć na wyspę Świętego Ludwika. Naprzeciw hotelu Cigognes znajdowało się bistro z cynkowym kontuarem otoczonym stosem drewna i workami z węglem. Torrence ze zwiotczałą ze zmęczenia twarzą pił tam kawę, kiedy komisarz dołączył do mego.

- Jak przebiegła noc?

- Jak zawsze w takich wypadkach... Nic się nie wydarzyło, tylko że teraz już wiem, o której każdy gasi światło... Na czwartym, po prawej, musi mieszkać jakiś chory, bo okno pozostawało oświetlone aż do szóstej rano...

Pański Ricain nie wychodził... Wrócili jacyś lokatorzy... Taksówka przywiozła parę podróżnych... Jakiś pies przywiązał się do mnie i chodził tam i z powrotem w ślad za mną przez prawie całą noc... To wszystko...

- Możesz iść spać...

- A raport?

- Złożysz go jutro.

Wszedł do hotelu, którego właściciela znał od trzydziestu lat. Był to skromny zakład, gdzie przyjmowano prawie wyłącznie stałych klientów, prawie wszystkich ze wschodu, ponieważ należał do Alzacyjnyka.

- Mój lokator obudził się?

- Dzwonił dziesięć minut temu, żeby spytać, czy może dostać do pokoju filiżankę kawy i rogaliki... Właśnie mu je zanieiono...

- Co jadł wczoraj wieczorem?

- Nic... Musiał zasnąć od razu, bo gdy pukano do drzwi około siódmej, nie było odpowiedzi... Kto to? Jakiś ważny świadek? Podejrzany?

Nie było windy. Maigret wspiał się po schodach na czwarte piętro, dotarł zdyszany do podestu i stał przez chwilę nieruchomo, zanim zastukał pod 43.

- Kto tam?

- Maigret.

- Proszę wejść.

Odsuwając tacę na kołdrze, Francis wynurzył się z łóżka z nagą i chudą piersią, z twarzą pokrytą niebieskawym zarostem. Rzucił na boki rozgorączkowane spojrzenia. W ręku trzymał

jeszcze rogalika.

- Przepraszam, że nie wstaję, ale nie mam piżamy...
- Dobrze pan spał?
- Jak zabity... Jeszcze mam ciężką głowę... Która godzina?
- Piętnaście po ósmej...

Okna małego i źle umeblowanego pokoiku wychodziły na podwórko i dachy. Słychać było głosy z sąsiedniego domu i krzyki dzieci na szkolnym dziedzińcu.

- Odkrył pan coś?
- Zjadłem kolację w Vieux-Pressoir.

Ricain obserwował go przenikliwym wzrokiem, już w defensywie, i wyczuwało się, że podejrzewa cały świat o kłamstwo.

- Byli tam?
- Byli państwo Carusowie...
- Co on powiedział?
- Przysięga, że jest pan kimś w rodzaju geniusza.
- Przypuszczam, że Nora zatroszczyła się, by zapewnić, że jestem tylko durniem?
- Mniej więcej. Na pewno mniej pana lubi niż on.
- Jeszcze mniej lubiła Sophie!
- Maki też tam był.
- Pijany?
- Dopiero pod koniec zaczął chwiać się na nogach.
- To porządny facet.
- On także jest pewien, że będzie pan kimś.
- Co oznacza, że jestem nikim...

Nie dokończył rogalika. Można by powiedzieć, że przyjście Maigreta odebrało mu apetyt.

- Czy myślą, że zabiłem Sophie?

- Prawdę mówiąc, nikt nie uważa pana za winnego. Niektórzy wyobrażali sobie jednak, że policja jest innego zdania i wszyscy mnie pytali, czy pana aresztowałem.

- Co pan odpowiedział?
- Prawdę.
- To znaczy?
- Że jest pan wolny.

- Sądzi pan, że to rzeczywiście prawda? Bo w takim razie co ja tu robię? Niech pan przyzna, że miał pan przez całą noc swojego człowieka na warcie przed hotelem...

- Widział go pan?
- Nie, ale wiem, jak to jest... I co ze mną teraz będzie? Maigret też zadawał sobie to pytanie.

Nie chciał pozwolić, żeby Ricain poruszał się swobodnie po Paryżu, a z drugiej strony nie miał żadnego wystarczającego powodu, by go zatrzymać.

- Najpierw poproszę, żeby poszedł pan ze mną na Quai des Orfèvres.

- Znowu?

- Będę miał chyba do pana kilka pytań... Do tej pory pletwonurkowie z brygady rzecznej odnajdą może pański pistolet...

- Czy go odnajdą, czy nie, co to może zmienić?

- Ma pan żyletkę, mydło... W głębi korytarza jest prysznic... Zaczekam na pana na dole lub na zewnątrz...

Zaczął się nowy dzień, równie ciepły jak dwa poprzednie, było jednak za wcześnie, żeby wiedzieć, jak będzie dalej.

Francis Ricain intrygował komisarza, a opinie, które zebrał poprzedniego wieczoru czyniły z niego postać dosyć ujmującą.

W każdym razie był niezwykle młodzińcem, którego możliwości robiły wrażenie na producencie. Ale czy Carus nie zachwycał się za każdym razem, gdy przedstawiono mu jakiegoś artystę, nawet jeżeli miał o nim zapomnieć kilka miesięcy lub tygodni później?

Maigret powinien pójść do jego biura, gdzie producent wyznaczył mu zagadkowe spotkanie. Miał mu do powiedzenia coś, o czym nie chciał mówić w obecności Nory, która to wyczuła. Komisarz zastanawiał się więc, czy Carus pojawi się tego ranka na ulicy Bassano i czy kochanka mu w tym nie przeszkodzi.

Do tej pory zaledwie otarł się o jeden z tych niewielkich świątków jakich tysiące, dziesiątki tysięcy istnieje w Paryżu, złożonych z przyjaciół, krewnych, kolegów, kochanków i kochanek stałych bywalców jakiejś kawiarni czy restauracji, a które tworzą się, zacieśniają na krótko łączące je więzy i rozpraszają, aby utworzyć inne, mniej lub bardziej jednolite.

Jakże nazywał się ten dwukrotnie żonaty fotograf, mający dzieci z obu żonami, a który właśnie zrobił następne nowej kochance?

Jeszcze mylił nazwiska i miejsca, jakie każdy zajmował. A przecież morderstwo Sophie zostało popełnione przez jakiegoś znajomego młodej pary albo jedynie młodej kobiety. Inaczej nie otworzyłyby drzwi.

Chyba że ktoś miał klucz?

Chodził tam i z powrotem, tak jak przez całą noc Torrence, ale przynajmniej miał szczęście spacerować w słońcu. Ulicą spieszyły gospodynie domowe, które oglądały się za nim, kiedy przechadzał się z rękoma założonymi do tyłu, jak nauczyciel na szkolnym dziedzińcu.

Tak, miał jeszcze wiele pytań do Francisa. I podobnie jak poprzedniego dnia będzie miał przed sobą płochliwe, stające dęba zwierzę, to znów uspokajające się, podejrzliwe, niecierpliwe, wierzgające znienacka...

- Jestem do pańskiej dyspozycji...

Maigret wskazał na bistro węglarza.

- Nie chce się pan czegoś napić?

- Nie, dziękuję.

Szkoda, Maigret chętnie rozpocząłby ten wiosenny dzień od kieliszka białego wina.

V

To był najtrudniejszy okres do przetrwania. Maigret we wszystkich prawie śledztwach, które prowadził, znał ten dłuższy bądź krótszy czas niepewności, gdy - jak mówili po cichu jego współpracownicy - wyglądał, jakby przeżuwał.

Podczas pierwszego etapu śledztwa, gdy nagle znajdował się w nowym środowisku, wśród ludzi, o których nic nie wiedział, wydawało się, że odruchowo wchłania w siebie otaczające go życie i nasąca się nim jak gąbka.

Tak było poprzedniego wieczoru w Vieux-Pressoir, gdzie jego pamięć rejestrowała bezwiednie najmniejsze szczegóły panującej tam atmosfery, gesty, mimikę każdej twarzy.

Gdyby nie poczuł się zmęczony, poszedłby później do Klubu Zero, odwiedzanego przez niektórych członków tej niewielkiej paczki.

Teraz wchłonał już mnóstwo wrażeń, gmatwaninę obrazów, wypowiedzianych zdań, mniej lub bardziej ważnych słów, dostrzeżonych spojrzeń, ale nie miał jeszcze pojęcia, co z tym wszystkim począć.

Najbliżsi zaś współpracownicy wiedzieli, że lepiej nie zadawać mu pytań ani nawet nie spoglądać na niego pytająco, ponieważ zazwyczaj stawał się opryskliwy.

Tak jak się tego spodziewał, w notatce zostawionej na biurku proszono go, żeby zatelefonował do sędziego Camusa.

- Halo!... Mówi Maigret...

Rzadko współpracował z tym sędzią, którego nie zaliczał ani do natrętnych funkcjonariuszy, ani do tych, co pozostawiają ostrożnie policji czas na wykonywanie swojej pracy.

- Prosiłem, żeby pan do mnie zadzwonił, ponieważ miałem telefon od prokuratora... Nicierpliwie czeka na informacje o tym, na jakim etapie znajduje się śledztwo...

Komisarz o mało nie mruknął pod nosem: „Na żadnym”

Co było prawdą. Zabójstwo to nie zadanie z algebry. Dotyczy istot ludzkich, o których poprzedniego dnia nic jeszcze nie wiadano, które były jedynie zwykłymi przechodniami. I nagle każdy z ich gestów, każde słowo nabierało znaczenia, a życie brano pod lupę.

- Śledztwo trwa - wolał jednak mruknąć. - Prawdopodobnie za godzinę lub dwie będziemy mieć w ręku bron, której użyto. Pletwonurkowie szukają jej na dnie Sekwany.

- Co zrobił pan z mężem?

- Jest tu, w chłodni.

Poprawił się, ponieważ tę nazwę rozumieli jedynie inspektorzy z jego brygady. Gdy nie wiedzieli, co zrobić ze świadkiem, pragnąc jednocześnie mieć go pod ręką, bądź gdy podejrzany, którego mieli przed sobą, nie był jeszcze „gotowy”, umieszczali go w chłodni.

Wprowadzając go do oszklonej poczekalni, wychodzącej na długi korytarz, mówili:

- Proszę chwilę zaczekać...

Ciągle przebywali tam oczekujący ludzie: zdenerwowane kobiety, niektóre z nich płakały i wycierały oczy chusteczką; przeróżni nicponie usiłowali trzymać fason; czasem zdarzali się i porządni ludzie, ci siedzieli cierpliwie, spoglądając na ściany pomalowane na jasnozielony kolor i zastanawiając się, czy nie zapomniano o ich istnieniu.

Godzina lub dwie spędzone w chłodni wystarczały często, żeby ludzie stali się rozmowni. Świadkowie całkowicie zdecydowani, że nie powiedzą ani słowa, stawali się bardziej elastyczni.

Zdarzało się, że „zapomniano” o nich na pół dnia. Oni zaś mając nadzieję, że w końcu nadeszła ich kolej, wpatrywali się w drzwi, unosząc się z miejsca za każdym razem, gdy zbliżał się woźny.

Widząc, jak inspektorzy wychodzą w południe, zdobywali się na odwagę, żeby spytać Józefa:

- Jest pan pewien, że komisarz pamięta o mnie?

- Jest ciągle na naradzie.

Z braku lepszego rozwiązania, Maigret umieścił Ricaina również w chłodni.

Sędziemu śledczemu tłumaczył:

- Siedzi w poczekalni. Znowu go przesłucham, gdy tylko zbiorę nowe informacje.

- Jakie odniósł pan wrażenie? Winny?

Jeszcze jedno pytanie, którego sędziego by nie zadał, gdyby dłużej pracował z Maigretem.

- Nie odniosłem żadnego wrażenia.

Co było prawdą. Zwlekał, jak długo to było możliwe, z wyrobieniem sobie zdania. A właściwie nie „wyrabiał” go sobie. Zachowywał swobodny umysł aż do chwili, gdy nasunęło mu się coś oczywistego, albo gdy jego rozmówca załamał się.

- Sądzi pan, że to długo potrwa?

- Mam nadzieję, że nie.

- Czy odrzucono hipotezę zbrodni z niskich pobudek?

Jak gdyby wszystkich zbrodni nie popełniano z niskich pobudek! W Pałacu Sprawiedliwości nie mówiono tym samym językiem co w Policji Kryminalnej, inne też posiadano wyobrażenie o ludziach.

Trudno było przyjąć, że jakiś nieznajomy, w poszukiwaniu pieniędzy, pojawił się po dziesiątej wieczorem na ulicy Świętego Karola, i że Sophie Ricain, już w nocnym stroju, z ufnością wpuściła go do kawalerki.

Albo jej zabójca posiadał klucz, albo był to ktoś, kogo znała i do kogo miała zaufanie. Zwłaszcza że morderca musiał w jej obecności otworzyć szufladę komody, aby wziąć z niej pistolet.

- Proszę informować na bieżąco... I nie pozostawiać mnie zbyt długo bez wiadomości...

Prokuratura się niecierpliwi...

Oczywiście! Prokuratura zawsze się niecierpliwi. Panowie, którzy siedzą sobie wygodnie w swoich gabinetach i rozpatrują przestępczość przez pryzmat tekstów prawnych i statystyk. W drżenie wprawiał ich telefon z gabinetu ministra.

- Jak to: jeszcze nikogo nie aresztowano?

Ministerstwo natomiast poganiała niecierpliwość prasy. Dla niej ciekawa sprawa, piękna zbrodnia, to taka, która przynosi codziennie jakiś widowiskowy zwrot. Pozostawiony zbyt długo bez pokarmu czytelnik zapomina o niej. Klin klina wybija. I tak traci się piękne tytuły na pierwszych stronach.

- Zgoda, panie sędzio... Tak, panie sędzio... Zadzwoń, panie sędzio...

Mrugnął do Janvier'a.

- Przejdź się od czasu do czasu korytarzem, żeby zobaczyć, jak się zachowuje... Taki gość jak on może dostać ataku nerwowego albo sforsować drzwi mojego gabinetu...

Przejrzał jednak pocztę, po czym udał się złożyć raport, spotykając przy okazji kolegów, którzy dyskutowali beznamiętnie o kilku bieżących sprawach.

- Nic nowego, Maigret?

- Nic nowego, panie dyrektorze.

Tutaj nikt nie nalegał. Wszyscy wykonywali ten sam zawód. Na krótko przed dziesiątą, gdy komisarz znów znalazł się w gabinecie, zadzwoniono z brygady rzecznej...

- Odnaleźliście broń?

- Na szczęście w ostatnich dniach prąd jest dosyć słaby, a Sekwana była w tym miejscu oczyszczona pogłębiarką ubiegłej jesieni. Moi ludzie znaleźli broń prawie od razu, czterdzieści metrów od mostu, w górę rzeki, około dziesięciu metrów od lewego brzegu. Jest to automat 6,35 produkcji belgijskiej, magazynek zawiera jeszcze pięć naboń.

- Czy mógłby pan kazać zawieźć go do Gastinne-Renette'a?

A do Janvier'a:

- Zajmiesz się tym? Już ma kulę.

- Zrozumiałem, szefie.

Mało brakowało, a Maigret zadzwoniłby na ulicę Bassano. Zdecydował jednak nie zapowiadać swojej wizyty i skierował się ku głównym schodom, unikając zwracania się w stronę poczekalni.

Jego wyjście nie mogło umknąć Ricainowi, który z pewnością zastanawiał się, dokąd idzie komisarz. Maigret minął po drodze młodego Lapointe'a, który właśnie przyszedł i zamiast - jak zamierzał - wziąć taksówkę, kazał się zawieźć do budynku, gdzie znajdowało się biuro Carusa.

Zatrzymał się w środku, żeby popatrzeć na mosiężne tabliczki. Zauważył, że prawie na każdym piętrze mieściło się jakieś przedsiębiorstwo filmowe. Spółka, która go interesowała,

nosiła nazwę „Carossoc” i miała swoją centralę na antresoli.

- Mam pójść z panem?

- Wolałbym.

Była to nie tylko jego własna metoda, lecz także zalecenie z podręcznika instrukcyjnego dla oficerów Policji Kryminalnej.

Dosyć ciemny przedpokój, którego jedyne okno wychodziło na podwórze, gdzie można było dostrzec szofera zajętego pucowaniem rollsa. Ruda maszynistka przed centralką telefoniczną.

- Mogę widzieć się z panem Carusem? - spytał.

- Nie wiem, czy już przyszedł.

Jakby nie trzeba było jej minąć, żeby dostać się do pozostałych pomieszczeń.

- Pańska godność?... Czy jest pan umówiony?

- Komisarz Maigret.

Wstała, chcąc wskazać im poczekalnię i też umieścić ich w chłodni.

- Dziękuję... Poczekamy tutaj...

Najwyraźniej to się jej nie spodobało. Zamiast zatelefonować do szefa, wyszła przez obite drzwi i nie było jej trzy czy cztery minuty.

Nie ona pojawiła się pierwsza, ale Carus we własnej osobie, ubrany w jasnoszary wełniany garnitur, świeżo ogolony i roztaczający zapach lawendy.

Najwidoczniej był niedawno u fryzjera i zapewne kazał sobie zrobić masaż twarzy. Mężczyźni jego pokroju lubią wylegiwać się każdego ranka pół godziny na rozkładanym fotelu.

- Jak się pan miewa, drogi przyjacielu?...

Wyciągnął serdecznie rękę do człowieka, którego o szóstej poprzedniego wieczoru jeszcze nie znał.

- Proszę wejść... Pan też, młody człowieku... Przypuszczam, że to jeden z pańskich współpracowników?

- Inspektor Lapointe...

- Może nas pani zostawić... Nie ma mnie dla nikogo i nie będę odpowiadać na żadne telefony, chyba że zadzwonią z Nowego Jorku.

- Nie znoszę, gdy telefony mi przerywają... - tłumaczył z uśmiechem.

Jednakże na biurku stały trzy aparaty. Pokój był przestronny. Ściany, podobnie jak fotele, były pokryte beżową skórą, a gruba wykładzina na podłodze miała ciepły, kasztanowy kolor.

Co do olbrzymiego biurka z palisandru, to zawałone było tyloma teczkami, że wystarczyłyby na pracę dla tuzina sekretarek.

- Proszę usiąść... Czym mogę panów poczęstować? Podszedł do niskiego mebla, który okazał się sporych rozmiarów barem.

- Jest może trochę za wcześnie na aperitif, ale słyszałem, że jest pan amatorem piwa... Ja

również... Mam tu wspaniałe piwo, które sprowadzam bezpośrednio z Monachium...

Okazywał większą wylewność niż poprzedniego wieczoru, może dlatego, że nie musiał przejmować się reakcjami Nory.

- Wczoraj mnie pan zaskoczył... Idąc na kolację do mojego starego przyjaciela Boba, jak to często robię, nie spodziewałem się, że pana spotkam... Wypiłem przedtem dwie czy trzy whisky, co w połączeniu z szampanem... Nie byłem pijany... Nigdy nie jestem... Mimo to dzisiejszego ranka mam dosyć niewyraźne wspomnienie o niektórych szczegółach naszej rozmowy... Żona wyrzucała mi, że za dużo mówiłem, zbytnio się angażując... Pańskie zdrowie!... Mam nadzieję, że nie odniósł pan takiego wrażenia?...

- Zdaje się pan uważać Francisa Ricaina za wartościowego chłopca, który ma wszelkie dane, aby zostać jednym z naszych wielkich reżyserów...

- Z pewnością tak panu powiedziałem, tak... Mam zwyczaj pokładać zaufanie w młodych ludziach i chętnie uzewnętrzniam swój entuzjazm...

- Już pan tak nie uważa?

- Ależ tak! Ależ tak! Jednak z drobnymi zastrzeżeniami... Znajduję u tego chłopca skłonność do nieporządku, do pewnej anarchii... To ma za dużo wiary w siebie, to znów mu jej brakuje.

- O ile sobie dobrze przypominam pańskie słowa, to byli bardzo zgodnym małżeństwem.

Camus zagłębił się w fotelu, ze skrzyżowanymi nogami, szklanką w jednej, a cygarem w drugiej ręce.

- Tak powiedziałem?

Nagle zdecydował się wstać, odstawił przeszkadzającą mu szklankę na stolik, wypuścił kilkakrotnie dym z cygara i zaczął przemierzać pokój.

- Proszę posłuchać, panie komisarzu. Miałem nadzieję, że pan przyjdzie dzisiaj rano...

- Tak mi się wydawało...

- Nora jest wyjątkową kobietą... Chociaż unika przestępowania progu tego biura, mógłbym powiedzieć, że jest moją najlepszą współpracownicą...

- Mówił mi pan o jej talentach jako medium...

Poruszył ręką, jakby chcąc zetrzeć słowa napisane na niewidzialnej tablicy.

- Tak mówię przy niej, ponieważ sprawia jej to przyjemność... Tak naprawdę, to ma solidny zdrowy rozsądek i rzadko myli się w ocenie ludzi... Ja daję ponieść się entuzjazmowi... Zbyt łatwo ufam ludziom...

- W sumie służy panu za coś w rodzaju bezpiecznika? - Można tak powiedzieć... Jestem całkowicie zdecydowany uczynić z niej swoją żonę, gdy tylko otrzymam rozwód... Właściwie, to tak jakby już nią była...

Wyczuwało się, że szło mu już trudniej, że szuka słów ze wzrokiem utkwionym w popiół cygara.

- No więc... Jak by to powiedzieć?... Mimo że jest istotą wyższego rzędu, Nora nie umie powstrzymać się od zazdrości... Dlatego też wczoraj, w jej obecności, musiałem panu skłamać...

- Scena w sypialni?

- Właśnie... Oczywiście nie rozegrała się tak, jak to panu opowiedziałem... Prawdą jest, że Sophie skryła się w sypialni, żeby się wypłakać po okrutnych słowach, które Nora wypowiedziała pod jej adresem, już nie pamiętam jakich, bo wszyscy dużo wypiliśmy... W każdym razie, poszedłem do niej, żeby ją pocieszyć...

- Była pańską kochanką?

- Jeżeli zależy panu na tym słowie... Przytuliła się do mnie i - krok po kroku - zaczęliśmy być nieostrożni, bardzo nieostrożni...

- Żona to zobaczyła?

- Komisarz policji nie omieszkałby sporządzić doniesienia o cudzołóstwie...

Uśmiechnął się z odrobiną satysfakcji.

- Proszę mi powiedzieć, panie Carus. Jak przypuszczam, ładne dziewczyny przewijają się codziennie przez pańskie biuro. Większość z nich gotowa jest na wszystko, żeby dostać małą rólkę...

- Zgadza się.

- O ile mi wiadomo, zdarza, się panu z tego korzystać?

- Nie kryję się z tym...

- Nawet przed Norą?

- Wytlumaczę panu... Że wykorzystuję od czasu do czasu, jak pan mówi, ładną dziewczynę, to Nory zbytnio nie niepokoi, pod warunkiem, że to bez przyszłości... To część mojego zawodu... Wszyscy mężczyźni tak robią, tylko że nie wszyscy mają takie okazje... Pan sam, komisarzu...

Maigret popatrzył na niego ociężale i bez uśmiechu.

- Przepraszam, jeśli pana uraziłem... Na czym to stanąłem?... Wiem, że wypytywał pan niektórych z naszych przyjaciół i że będzie pan robił to dalej... Wolę grać z panem w otwarte karty... Słyszał pan, w jaki sposób Nora mówi o Sophie... Wolałbym, żeby po tych słowach nie miał pan złego wyobrażenia o tej biednej dziewczynie...

Nie kierowała się ambicją. Przeciwnie, nie była też kobietą idącą z byle kim do łóżka...

Poryw serca popchnął ją, gdy była prawie dzieckiem, w objęcia Ricaina. Było to nieuchronne, ponieważ obdarzony jest pewnym magnetyzmem... Kobiety są pod wrażeniem mężczyzn niespokojnych, ambitnych, zgorzkniałych, gwałtownych...

- Tak by go pan scharakteryzował?

- A pan?

- Jeszcze nie wiem.

- W każdym razie, poślubiła go... Zaufała mu... Poszła za nim jak dobrze wytresowany

piesek. Milczała, gdy tego sobie życzył, zajmując możliwie jak najmniej miejsca, żeby mu nie przeszkadzać, zgadzając się na niepewne życie, na które ją skazywał...

- Czy była nieszczęśliwa?

- Cierpiała z tego powodu, ale starała się tego nie okazywać... Tymczasem on, chociaż jej potrzebował, chociaż potrzebował jej biernej obecności... to były chwile, gdy go drażniła i wtedy jej wyrzucał, że jest martwym ciężarem, przeszkodą w jego karierze... Oskarżał ją, że jest głupia jak but...

- Mówiła panu o tym?

- Zgadłem już wcześniej, po pewnych zdaniach, które przy mnie wymieniali...

- Został pan jej powiernikiem?

- Można tak powiedzieć... Wbrew sobie, zapewniam pana... Czuli się zupełnie zagubiona w tym środowisku, które było dla niej zbyt okrutne i nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć.

- W jakim okresie został pan jej kochankiem? - Jeszcze jedno słowo, którego nie lubię... Odczuwałem w stosunku do niej przede wszystkim litość... Zamierzałem tylko jej pomóc...

- Zrobić karierę w kinie?

- Zaskoczę pana, ale miałem taki pomysł i to ona się wzbraniała. Nie była olśniewającą pięknoscią, jedną z tych kobiet, za którymi oglądają się na ulicy, jak za Norą...

Mam niezłe wyczucie pragnień publiczności... Gdybym go nie miał, nie wykonywałbym tego zawodu... Ze swoją raczej zwyczajną twarzą, drobnym, nieco wątłym ciałem, Sophie odpowiadała dosyć dokładnie wyobrażeniu większości ludzi o młodej dziewczynie. Rodzice mogliby utożsamiać ją z własną córką, młodzi z kuzynką czy przyjaciółką... Rozumie pan?

- Czy miał pan zamiar ją wylansować?

- Powiedzmy, że o tym myślałem...

- Mówił jej pan o tym?

- Niezbyt wyraźnie... Dyskretnie ją sondowałem...

- Gdzie odbywały się wasze spotkania?

- To nie jest miłe pytanie, ale muszę na nie odpowiedzieć, prawda?

- Tym bardziej że sam znalazłbym na nie odpowiedź.

- No więc, wynająłem umeblowaną kawalerkę, dosyć elegancką i dosyć wygodną, w nowym budynku na ulicy Franciszka I... Dokładniej mówiąc, to ta wielka kamienica na rogu ulicy Jerzego V... Mam stąd zaledwie trzysta metrów do przejścia...

- Chwileczkę. Czy ta kawalerka przeznaczona była wyłącznie na pańskie randki z Sophie, czy służyła też do innych spotkań?

- W zasadzie dla Sophie... Tutaj trudno nam było znaleźć trochę intymności, a do niej też nie mogłem chodzić...

- Nigdy pan tam nie bywał pod nieobecność męża?

- Raz czy dwa...

- Niedawno?

- Ostatni raz przed jakimiś dwoma tygodniami... Nie zadzwoniła do mnie, jak to miała w zwyczaju... Nie przyszła też na ulicę Franciszka I... Zatelefonowałem do niej. Powiedziała, że nie czuje się dobrze...

- Była chora?

- Załamana... Francis stawał się coraz bardziej nerwowy... Bywał brutalny... Będąc u kresu cierpliwości, chciała odejść, pójść dokądkolwiek, pracować jako sprzedawczyni w pierwszym lepszym sklepie...

- Poradził jej pan, żeby tego nie robiła?

- Dałem jej adres jednego z moich adwokatów, aby się go poradziła w sprawie ewentualnego rozwodu... Tak byłoby lepiej dla nich obojga...

- Była na to zdecydowana?

- Wahała się... Francis wzbudzał w niej litość... Uważała za swój obowiązek zostać z nim, dopóki nie osiągnie sukcesu...

- Powiedziała mu o tym?

- Na pewno nie...

- W jaki sposób może pan być tego pewien?

- Gdyż zareagowałby gwałtownie...

- Chciałem postawić panu jedno pytanie, panie Carus. Proszę się zastanowić, zanim pan odpowie, gdyż nie ukrywam, że jest ono ważne. Wiedział pan, że mniej więcej przed rokiem Sophie była w ciąży?

Zrobił się purpurowy i jednym ruchem rozgniół cygaro w kryształowej popielniczce.

- Tak, wiedziałem o tym... - wyszeptał siadając. - Jednak od razu oświadczam panu, i przysięgam na to, co mam najdroższego na świecie, że to dziecko nie było moje... W tamtym okresie nie utrzymywaliśmy jeszcze intymnych stosunków... Dodam, że to przy tej okazji zaczęła mi się zwierzać... Widziałem, że jest zdenerwowana, że coś ją trapi... Wyspowiadałem ją... Wyznała mi, że spodziewa się dziecka i że Francis będzie wściekły...

- Dlaczego?

- Dlatego, że byłby to dodatkowy ciężar, przeszkoda w karierze... Klepał biedę... Z dzieckiem... Krótko mówiąc, była pewna, że nie wybaczyłby jej tego i poprosiła mnie o adres jakiejś akuszerki albo uczynnego lekarza...

- Dostarczył go pan?

- Muszę przyznać, że złamałem prawo...

- Trochę za późno, żeby utrzymywać coś przeciwnego.

- Wyświadczyłem jej przysługę...

- Francis o niczym się nie dowiedział?

- Nie... Jest zbyt zajęty sobą, aby interesować się tym, co dzieje się wokół niego, nawet kiedy dotyczy to jego własnej żony...

Wstał ociągając się i, zapewne dla nabrania pewności siebie, podszedł do baru po butelkę świeżego piwa.

* * *

Z pełną szacunku poufałością nazywano go panem Gastonem, ponieważ był człowiekiem poważnym i godnym, świadomym odpowiedzialności, która spoczywa na barkach portiera w eleganckim hotelu. Dostrzegł Maigreta, zanim komisarz przekroczył drzwi obrotowe, i zmarszczył brwi, a tymczasem przez głowę przewijały mu się twarze klientów, którym mógł zawdzięczać wizytę policji.

- Zaczekaj tutaj na mnie chwilę, Lapointe... - mruknął Maigret.

Począł, aż jakaś starsza kobieta upewni się co do godziny przylotu samolotu z Buenos Aires, zanim uściśnięła dyskretnie rękę pana Gastona.

- Proszę się nie obawiać. Nic nieprzyjemnego.

- Gdy widzę, jak pan wchodzi, zawsze się zastanawiam...

- O ile się nie mylę, pan Carus zajmuje u was apartament na czwartym piętrze?

- Zgadza się... Z panią Carus...

- Jest wpisana pod tym nazwiskiem?

- To znaczy, to jest nazwisko, które jej dajemy...

Pan Gaston prawie nie musiał się uśmiechnąć, żeby zostać zrozumianym.

- Jest na górze!

Rzut oka na tablicę z kluczami.

- Sam nie wiem, dlaczego na to patrzę... Stare przyzwyczajenie... O tej porze z pewnością właśnie je śniadanie.

- Pana Carusa nie było w tym tygodniu, prawda?

- W środę i w czwartek...

- Wyjechał sam?

- Szofer zawiózł go na Orły około piątej... Zdaje mi się, że miał lecieć do Frankfurtu...

- Kiedy wrócił?

- Wczoraj po południu, z Londynu...

- Chociaż nie ma tu pana w nocy, może jakoś dałoby się sprawdzić, czy pani Carus wychodziła w środę wieczorem i o której godzinie?

- Nic prostszego...

Przekartkował stronicę wielkiego oprawionego na czarno rejestru.

- Klienci wracając wieczorem mają zwyczaj zatrzymać się na chwilę, aby powiedzieć mojemu koledze z nocnej zmiany, o której pragną być obudzeni i co zjedzą na śniadanie.

Pani Carus nigdy o tym nie zapomina. Nie zapisuje się godziny powrotu, ale według kolejności nazwisk na stronie można ją w przybliżeniu ustalić...

No proszę... W środę... jest tylko dziesięć nazwisk przed jej nazwiskiem. Panna Trevor... Kładzie się wcześniej, to stara panna, która wraca zawsze przed dziesiątą... Maxwellowie... Na oko powiedziałbym, że wróciła przed północą, powiedzmy między dziesiątą a dwunastą... W każdym razie przed końcem przedstawień teatralnych... Dzisiaj wieczorem poproszę kolegę z nocnej zmiany o potwierdzenie...

- Dziękuję. Czy mógłby pan mnie zapowiedzieć?

- Chce się pan z nią zobaczyć? Zna ją pan?

- Wczoraj wieczorem wypilem kawę z nią i jej mężem. Powiedzmy, że to kurtuazyjna wizyta.

- Proszę mnie połączyć z 403... Halo... Pani Carus? Mówi portier... Komisarz Maigret pyta, czy może wejść na górę... Tak... Zgodę... Powiem mu...

A do Maigreta:

- Prosi, żeby zaczekał pan dziesięć minut...

Po to, żeby dokończyć swój przerażający, wyszukany makijaż, czy żeby zadzwonić na ulicę Bassano?

Komisarz dołączył do Lapointe'a i obaj chodzili w milczeniu od witryny do witryny, podziwiając biżuterię wystawioną przez największych paryskich jubilerów, futra i bieliznę.

- Nie chce ci się pić?

- Nie, dziękuję.

Mieli niemiłe wrażenie, że są obserwowani, odetchnęli gdy minęło dziesięć minut, po czym weszli do jednej z wind.

- Na czwarte.

Nora otworzyła im drzwi. Miała na sobie bladezielony peniuar z satyny, dobrany do koloru źrenic. Jej włosy wydawały się jeszcze bardziej odbarwione niż poprzedniego wieczoru, prawie białe.

Salon był przestronny, oświetlony przez dwa duże okna, z których jedno otwierało się na balkon.

- Nie spodziewałam się pańskiej wizyty, właśnie wstałam z łóżka...

- Mam nadzieję, że nie przerywamy śniadania?

Tacy nie było w pokoju, ale zapewne znajdowała się w sąsiedniej sypialni.

- Pragnie pan zobaczyć się z mężem?... Już dawno poszedł do biura...

- To pani chciałbym, korzystając ze sposobności, zadać dwa lub trzy pytania. Oczywiście nie musi pani odpowiadać. Najpierw pytanie, które zadaję rutynowo wszystkim, którzy znali Sophie Ricain. Proszę nie dopatrywać się w tym złej intencji. Gdzie była pani w środę wieczorem?

Nie mrugnawszy nawet, usiadła w białym fotelu i spytała:

- O której?

- Gdzie jadła pani kolację?

- Chwileczkę... W środę? Wczoraj był pan z nami... W czwartek jadłam kolację sama w Fouquefs. Nie w sali na pierwszym piętrze, jak wtedy gdy jestem z Carusem, ale na parterze, przy małym stoliku... W środę... W środę nie jadłam kolacji, to całkiem proste...

Musi pan wiedzieć, że poza pierwszym lekkim śniadaniem zazwyczaj jem tylko jeden posiłek dziennie... Jeżeli obiad, to nie kolację. A jeżeli jem kolację, to oczywiście nie jadłam obiadu... W środę jedliśmy obiad w Berkeley z przyjaciółmi... Po południu byłam u miary, dwa kroki stąd... Następnie wypłam kieliszek u Jeana, na ulicy Marbeuf... Musiało być koło dziewiątej, gdy wróciłam...

- Poszła pani od razu do swojego apartamentu?

- Zgadza się... Czytałam do pierwszej nad ranem, ponieważ nie mogę wcześniej zasnąć. Przedtem oglądałam telewizję...

Odbiornik znajdował się w rogu salonu.

- Proszę mnie nie pytać, jaki to był program... Wiem tylko, że można było zobaczyć młodych piosenkarzy i piosenkarki... Jest pan zadowolony?... Czy chce pan, żebym zawołała kelnera z tego piętra? Co prawda, to nie ten sam... Ale dzisiaj wieczorem będzie pan mógł zapytać tego z nocnej zmiany...

- Zamówiła pani coś?

- Małą butelkę szampana...

- O której?

- Nie wiem... Na krótko przed wieczorną toaletą... Podejrzewa mnie pan, że udałam się na ulicę Świętego Karola i zabiłam biedną Sophie?

- Nie podejrzewam nikogo. Wykonuję swój zawód, starając się sprawiać możliwie jak najmniej kłopotów. Wczoraj wieczorem mówiła nam pani o Sophie Ricain w słowach, które pozwalały przypuszczać, że niewiele było między wami sympatii.

- Nie starałam się tego ukryć...

- Była mowa o pewnym wieczorze w tym hotelu, gdy znalazła ją pani w ramionach męża...

- Nie powinnam była o tym mówić... Chciałam panu pokazać, że zabierała się do wszystkich mężczyzn. Nie była małą głupią gąską, czy też na zabój zakochaną we Francisie żoną, jak zapewne odmalowali ją panu niektórzy...

- Kogo pani ma na myśli?

- Nie wiem... Mężczyźni mają skłonność do nabierania się na ten rodzaj zgrywów... W oczach większości osób, z którymi przestajemy, muszę uchodzić za kobietę zimną, ambitną, wyrachowaną... Proszę to przyznać!

- Nikt o pani nie mówił w ten sposób...

- Jestem pewna, że tak myślą... Nawet taki facet jak Bob który powinien mieć więcej doświadczenia... Mała Sophie natomiast, łagodna i zrezygnowana, zostaje uznana za nieszczęśliwie zakochaną... Niech pan myśli, co chce... Powiedziałam panu prawdę...

- Carus był jej kochankiem?

- Kto tak utrzymuje?

- Powiedziała mi pani, że ich nakryła...

- Powiedziałam, że wsunęła mu się w ramiona, że szlochała, żeby się nad nią użalać, ale nie utrzymywałam, że Carus był jej kochankiem...

- Wszyscy pozostali byli, prawda? Tak mam to rozumieć?

- Proszę ich zapytać... Zobaczymy, czy ośmielią się panu skłamać...

- A Ricain?

- Stawia mnie pan w trudnym położeniu... Nie do mnie należy wystawianie ostatecznych ocen ludziom, z którymi się spotykamy, a którzy niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi... Powiedziałam, że Francis wiedział o tym?... To możliwe... Nie przypominam sobie... Mam zwyczaj mówić szczerze.

Carus zbzikował na punkcie tego chłopca, któremu przepowiadał świetlaną przyszłość... Ja uważam go za spryciarza, który udaje artystę... Proszę wybierać...

Maigret wstał i wyciągnął z kieszeni fajkę.

- To wszystko, o co chciałem panią spytać. Aha! Drobne pytanie. Sophie rok temu była w ciąży...

- Wiem...

- Mówiła pani o tym?

- Była w ciąży od dwóch lub trzech miesięcy, już zapomniałam... Francis nie chciał dziecka, ze względu na swoją karierę... Więc spytała mnie, czy znam jakiś adres... Mówiono jej o Szwajcarii, ale wahała się, czy udać się w podróż...

- Mogła jej pani pomóc?

- Odpowiedziałam jej, że nie znam nikogo... Nie zależało mi, żebyśmy razem z Carusem byli wmieszani w tego rodzaju historię...

- Jak się skończyła?

- Zapewne dobrze, z jej punktu widzenia, ponieważ już więcej o tym nie mówiła i nie miała dziecka...

- Dziękuję pani.

- Nie był pan w biurze u Carusa?

Maigret odpowiedział na to pytanie innym:

- Nie dzwonił do pani?

W ten sposób był pewien, że gdy tylko młoda kobieta zostanie sama, zadzwoni na ulicę Bassano.

- Dziękuję, Gastonie - powiedział przechodząc obok portiera.

Na chodniku odetchnął głęboko.

- Jeżeli skończy się to konfrontacją, wszystko wskazuje na to, że będzie burzliwa.

Chcąc jakby odświeżyć usta, wszedł do pierwszego napotkanego baru, by wypić kieliszek białego wina. Miał na to ochotę od samego rana, już na ulicy Saint-Louis-en-l'Île. Nawet piwo Carusa nie zaspokoilo tego pragnienia.

- Na Quai, mój mały Lapointe. Ciekaw jestem, w jakim stanie znajdziemy naszego Francisa.

Nie było go w szklanej klatce, gdzie ujrzeli tylko starą kobietę w towarzystwie całkiem młodego mężczyzny ze złamanym nosem. W swoim gabinecie zastał Janvier, który wskazał mu wściekłego Ricaina siedzącego na krześle.

- Musiałem go tutaj wprowadzić, szefie. Okropnie hałasował na korytarzu, żądając, żeby woźny zaprowadził go do dyrektora. Groził powiadomieniem gazet...

- To moje prawo! - wykrzykiwał młody mężczyzna. - Mam dosyć traktowania mnie jak debila lub złoczyńcy... Moja żona została zabita, a mnie się pilnuje, jakbym próbował uciekać... Nie zostawia mi się ani minuty spokoju i...

- Chce pan adwokata?

Francis popatrzył mu w oczy z wahaniem i nienawiścią w źrenicach.

- Pan... pan...

Złość przeszkadzała mu w znalezieniu słów.

- Przybiera pan ojcowskie pozy... Chce pan, żeby go podziwiano, że jest taki dobry, cierpliwy i wyrozumiały... Też mi się tak wydawało... Teraz stwierdzam, że wszystko, co się o panu opowiada, to głupstwa...

Uniósł się gniewem. Słowa same cisnęły mu się na usta. Mówił coraz szybciej.

- Ile płaci pan dziennikarzom, żeby panu kadzili?... Ale byłem głupi... Gdy zobaczyłem pańskie nazwisko w portfelu, wyobrażałem sobie, że jestem uratowany, że nareszcie znalazłem kogoś, kto mnie zrozumie...

Zadzwoniłem do pana... Bo bez tego telefonu nie odnalazłby pan mnie... Mógłbym za pańskie pieniądze... Jak sobie pomyślę, że nie wziąłem sobie nawet na jedzenie...

Rezultat jest taki, że zamyka mnie pan w nędznym hotelowym pokoiku... Z inspektorem pełniącym wartę na ulicy...

Potem trzyma mnie pan w tej swojej pułapce na szczury, a pańscy ludzie przychodzą od

czasu do czasu oglądać mnie przez szybę... Naliczyłem co najmniej dwunastu, którzy nabijali się ze mnie jak z jakiegoś cudaka...

A wszystko dlatego, że w czasie mojej nieobecności moja żona została zabita i że policja nie jest zdolna do ochrony obywateli... A poza tym, zamiast szukać prawdziwego winowajcy, czepia się pan wymarzonego dla siebie podejrzanego, czyli męża, który na swoje nieszczęście stracił głowę...

Maigret pociągał lekko z fajki. Stał naprzeciw rozszalałego Francisa, który gestykulował na środku pokoju, zaciskając pięści.

- Skończył pan?

Zadał to pytanie spokojnie, bez zniecierpliwienia i ironii.

- Czy w dalszym ciągu pragnie pan wezwać adwokata?

- Jestem zdolny bronić się sam... W pewnej chwili będzie pan musiał przyznać się do błędu i zwolnić mnie...

- Jest pan wolny.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Jego gorączka nagle opadła. Stał w miejscu, z opuszczonymi ramionami, patrząc na komisarza z wyrazem niedowierzania.

- Zawsze był pan wolny, dobrze pan o tym wie. Jeśli zapewniłem panu schronienie ostatniej nocy, to dlatego, że był pan bez pieniędzy i, jak przypuszczam, nie pragnął pan spać w kawalerce na ulicy Świętego Karola.

Maigret wyciągnął z kieszeni portfel, ten sam, który Francis ukradł mu na platformie autobusu. Wyjął z niego dwa banknoty dziesięciofrankowe.

- To na skromny posiłek i na powrót do Grenelle. Ktoś z przyjaciół na pewno pożyczy panu trochę pieniędzy na najpilniejsze wydatki. Informuję pana, że kazałem zatelegrafować do rodziców pańskiej żony, do Concarneau. Ojciec przyjedzie dziś wieczorem do Paryża. Nie wiem, czy nawiąże z panem kontakt. Nie rozmawiałem z nim osobiście przez telefon, ale wydaje się, że chciałby zabrać ciało córki do Bretanii.

Ricain nie mówił już o wyjściu.

- Oczywiście jest pan mężem i to pan powinien zdecydować.

- Co mi pan radzi?

- Pogrzeby drogo kosztują. Nie sądzę, żeby miał pan czas często chodzić na cmentarz. Jeżeli więc rodzinie na tym zależy...

- Będę musiał się zastanowić...

Maigret otworzył szafę, gdzie przechowywał zawsze butelkę koniaku i kieliszki. Przezorność ta często okazywała się pożyteczna.

Napełnił tylko jeden kieliszek i podał go młodemu mężczyźnie.

- Proszę wypić.

- A pan?

- Dziękuję.

Francis wypił koniak jednym haustem.

- Dlaczego częstuje mnie pan alkoholem?

- Żeby odzyskał pan równowagę.

- Przypuszczani, że będę śledzony?

- Nawet nie! Pod warunkiem, że powie mi pan, gdzie mogę pana zastać. Ma pan zamiar wrócić na ulicę Świętego Karola?

- A dokąd miałbym pójść?

- Jest tam teraz jeden z moich inspektorów. A propos, wczoraj wieczorem telefon w kawalerce dzwonił dwa razy. Inspektor odebrał i w obu przypadkach nikt się nie odezwał.

- To nie mogłem być ja, ponieważ...

- Nie mówię, że to był pan. Ktoś dzwonił do pańskiego mieszkania, kto być może nie czytał gazet. Zastanawiam się, czy ten mężczyzna lub ta kobieta spodziewali się usłyszeć pański głos czy też głos pana żony.

- Nie mam pojęcia...

- Nigdy nie zdarzyło się panu podnieść słuchawki i usłyszeć tylko czyjś oddech?

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Niech pan przypuści, że ktoś, sądząc, że jest pan nieobecny, chciał rozmawiać z Sophie.

- Znowu? Co panu naopowiadali ci, których wypytywał pan wczoraj wieczorem i dzisiaj rano? Co za brudne plotki próbuje pan...

- Jedno pytanie, Francis.

Wzdrygnął się, zdziwiony, że go tak nazwano.

- Co pan zrobił mniej więcej rok temu, gdy się dowiedział, że Sophie jest w ciąży...

- Nigdy nie była w ciąży...

- Czy przyszedł już raport medyczny, Janvier?

- Oto on, szefie... Delaplanque właśnie go przysłał...

Maigret przebiegł pismo wzrokiem.

- Proszę! Zobacz pan, że niczego nie insynuuję, że po prostu powołuję się na stwierdzenie lekarskie.

Ricain znowu spoglądał na niego dzikim wzrokiem.

- Mój Boże, co to za historia? Można by powiedzieć, że przysiągł pan doprowadzić mnie do szaleństwa.. A to oskarża się mnie o zabicie żony, to znowu...

- Nigdy pana nie oskarżałem.

- Na jedno wychodzi... Podejrzewa pan... Potem, żeby mnie uspokoić...

Chwycił kieliszek, w którym był przedtem koniak, i rzucił nim gwałtownie o podłogę.

- Powinienem lepiej znać pańskie sztuczki!... Byłby z tego niezły film, tak... A Prefektura już by się zatroszczyła, żeby został zakazany... A więc Sophie była przed rokiem w ciąży? I, oczywiście, skoro nie mamy dzieci, przypuszczam, że zwróciliśmy się do fabrykantki aniołów... Prawda?... To nowe oskarżenie, jakie znaleziono przeciw mnie, skoro nie dało się utrzymać innego?

- Nie twierdziłem, że pan wiedział. Spytałem, czy żona panu o tym powiedziała. W rzeczywistości zwróciła się do kogoś innego.

- Ponieważ to obchodziło kogoś innego a nie mnie, jej męża?

- Chciała oszczędzić panu zmartwień, może konfliktu sumienia. Wyobrażała sobie, że dziecko na tym etapie pańskiej kariery będzie dla pana przeszkodą.

- No i?

- Zwierzyła się jednemu z pańskich przyjaciół.

- Ale komu, do diabła?

- Carusowi.

- Co? Chce pan, żebym uwierzył, że to Carusowi...

- Oznajmił mi to dziś rano. Nora potwierdziła to pół godziny później, z jedną wszak różnicą.

Według niej, Sophie nie była sama, mówiąc o swoim macierzyństwie. Byliście wtedy razem.

- Kłamała...

- Możliwe.

- Wierzy jej pan?

- Na razie nie wierzę nikomu.

- Mnie też nie?

- Panu też nie, Francis. Mimo to jest pan wolny.

Maigret usiał za biurkiem, zapalił fajkę i zaczął przeglądać jakąś teczkę z dokumentami.

VI

Ricain wyszedł. Niezdecydowany i niezdamny jak ptak, który ma się na baczności, widząc otwarte drzwi klatki. Janvier popatrzył pytająco na szefa. Naprawdę wypuszczono go na wolność bez nadzoru?

Maigret udając, że nie rozumie tego niemego pytania, kartkował dalej swoje papiery, aż w końcu podniósł się z westchnieniem i stanął przed oknem.

Był pośepny. Janvier wrócił do pokoju inspektorów, gdzie po cichu wymieniał wrażenia z Lapointe'em. Gdy wszedł komisarz, obaj mężczyźni instynktownie odsunęli się od siebie, co okazało się niepotrzebne. Maigret zdawał się ich nie widzieć.

Chodził od jednego biurka do drugiego, jakby nie wiedząc, co począć ze swoim ciężkim ciałem, zatrzymując się to przy maszynie do pisania, to przy aparacie telefonicznym albo pustym krześle, przesuując bez powodu na inne miejsce kartkę papieru.

Na koniec wymruczał:

- Niech uprzedzą moją żonę, że nie wrócę na obiad.

Sam do niej nie zadzwonił, co było znaczące. Nikt nie śmiał się odezwać, a tym bardziej zadawać mu pytań. W pokoju inspektorów wszyscy trwali w niepewności, a komisarz wyczuwając to, wzruszył ramionami, wszedł do gabinetu i zdjął z wieszaka kapelusz.

Nie powiedział ani dokąd idzie, ani kiedy wróci. Nie zostawił też żadnych poleceń, jak gdyby nagle stracił zainteresowanie całą sprawą.

Na pokrytych kurzem głównych schodach opróżnił fajkę, uderzając nią lekko o obcas, po czym przemierzył dziedziniec, niewyraźnie pozdrawiając wartownika. Skierował się w stronę placu Dauphine.

Być może nie tam chciałby się udać. Myślni był gdzie indziej. W mało znanej sobie dzielnicy, na bulwarze Grenelle, ulicy Świętego Karola czy La-Motte-Picquet.

Znów widział ciemną linię kolejki, przecinającej ukośnie niebo. Zdawało mu się, że słyszy głuchy stukot wagonów... Chłonał wyciszoną, nieco przesłodzoną atmosferę Vieux-Pressoir, podziwiał dobry humor Rose, bezustannie wycierającej ręce o fartuch, obserwował woskową twarz byłego kaskadera o ironicznym uśmiechu...

Maki, olbrzymi i łagodny w swoim kącie, ze spojrzeniem, w miarę picia, coraz bardziej zamglonym i niewyraźnym. Gerard Dramin, o ascetycznej twarzy, poprawiający bez końca jakiś scenariusz... Carus, który zadawał sobie tyle trudu, żeby okazać każdemu serdeczność, i wreszcie Nora, pozbawiona naturalności, począwszy od czubków palców aż do odbarwionych włosów...

Można było powiedzieć, że nogi zaprowadziły go bezwiednie, siłą przyzwyczajenia, do Brasserie Dauphine, gdzie pozdrowił odruchowo właściciela, wciągnął w nozdrza gorący zapach restauracji i skierował się do swojego kąta z wyściełaną ławeczką, na której zasiadał już tysiące

razy.

- Mamy kiełbaski wieprzowe, panie komisarzu...

- Z purée?

- A na początek?

- Byle co. I karafkę białego wina z Sancerre.

Kolega z wywiadu jadł obiad w innym kącie w towarzystwie funkcjonariusza ministerstwa spraw wewnętrznych, którego Maigret znał tylko z widzenia. Prawie wszyscy pozostali klienci byli stałymi gośćmi: adwokaci, którzy przemierzają niebawem plac, aby pójść bronić, sędziowie śledczy, inspektorzy z wydziału gier hazardowych.

Właściciel również rozumiał, że nie był to stosowny moment do nawiązania rozmowy. Maigret zaś jadł powoli, starannie, jakby był to akt dużej wagi.

Pół godziny później szedł wolnym krokiem wokół Pałacu Sprawiedliwości z rękoma założonymi do tyłu. Nie interesował się niczym szczególnie. Jak samotnik spacerujący z psem. Aż w końcu znalazł się znowu na schodach i pchnął drzwi do swojego gabinetu.

Czekała tam na niego notatka od Gastinne-Renette'a. Nie był to jeszcze końcowy raport. Pistolet znaleziony w Sekwanie okazał się rzeczywiście tą bronią, z której wystrzelono kulę na ulicy Świętego Karola.

Kolejny raz wzruszył ramionami, ponieważ wiedział o tym z góry. Chwilami czuł się przytłoczony tymi wszystkimi drugorzędnymi informacjami, raportami, telefonami i rutynową krzątaniną.

Stary woźny Józef zastukał lekko do drzwi i jak zwykle wszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Jakiś pan...

Maigret wyciągnął rękę i rzucił okiem na kartkę.

- Wprowadź.

Mężczyzna był ubrany na czarno, co podkreślało jego rumianą cerę i kosmyk siwych włosów sterczący na głowie.

- Proszę usiąść, panie Le Gal. Moje kondolencje. Wyplakał się zapewne w pociągu i wydawało się, że dla dodania sobie odwagi wypił już kilka kieliszków.

Miał niezdecydowane spojrzenie i wysławiał się z trudem.

- Co z nią zrobiono?... Nie chciałem iść do jej mieszkania z obawy, że spotkam tam tego człowieka. Zdaje mi się, że zadusiłbym go własnymi rękami...

Ile to już razy Maigret słyszał podobne słowa?

- Panie Le Gal, ciało nie znajduje się już na ulicy Świętego Karola, ale w Instytucie Medycyny Sądowej...

- Gdzie to jest?

- Na nabrzeżu obok mostu Austerlitz. Każę tam pana zawieźć, gdyż musi pan oficjalnie

zidentyfikować córkę.

- Czy cierpiała?

Zaciskał pięści, ale bez przekonania. Wyczuwało się, że jego energia, podobnie jak złość, wyparowała wraz z pokonanymi kilometrami. Z pustką w głowie powtarzał tylko słowa, w które sam już nie wierzył.

- Mam nadzieję, że go pan aresztował?

- Nie ma dowodów przeciwko mężowi.

- Ależ komisarzu! Od dnia, w którym przyszła powiedzieć nam o tym mężczyźnie, przepowiadałem, że to się źle skończy...

- Przywiozła go do was?

- Nigdy go nie widziałem... Znam go tylko ze złego zdjęcia. Nie miała wcale ochoty nam go przedstawiać... Odkąd go spotkała, rodzina przestała dla niej istnieć...

Wszystko, czego pragnęła, to jak najszybciej wyjść za mąż. Przygotowała nawet moją zgodę na piśmie, którą musiałem podpisać... Jej matka chciała mi w tym przeszkodzić... W końcu ustąpiłem. Uważam więc, że jestem w pewnym stopniu odpowiedzialny za to, co się stało...

Czyż w każdej sprawie nie dawało się odkryć tej wzruszającej, a zarazem odrażającej strony?

- Czy była jedynaczką?

- Na szczęście mamy piętnastoletniego syna...

W gruncie rzeczy Sophie już od dawna zniknęła z ich życia.

- Czy będę mógł zabrać ciało do Concarneau?

- Jeżeli o nas chodzi, to formalności są zakończone. Powiedział „formalności”.

- Czy ją... Chcę powiedzieć, czy odbyła się...

- Sekcja zwłok, tak. Co do transportu, to radzę panu zwrócić się do jednego z zakładów pogrzebowych, który poczyni niezbędne kroki.

- A on?

- Już mu o tym mówiłem. Nie sprzeciwia się, żeby została pochowana w Concarneau.

- Mam nadzieję, że on nie ma zamiaru przyjechać? Bo w takim wypadku za nic nie ręczę... A niektórzy, na miejscu, mogliby mieć mniej zimnej krwi niż ja i...

- Wiem. Sprawię, żeby pozostał w Paryżu.

- To on, prawda?

- Oświadczam panu, że tego nie wiem.

- Któż inny mógłby ją zabić? Była w niego wpatrzona. Dosłownie ją zahipnotyzował. Od dnia ślubu nie napisała do nas więcej niż ze trzy razy, nie zadawała sobie nawet trudu, żeby nam wysłać życzenia noworoczne...

To z gazet dowiedziałem się o jej nowym adresie... Sądziłem, że ciągle mieszka w hoteliku na ulicy Montmartre, gdzie żyli po ślubie... Dziwny ślub, bez rodziny i bez przyjaciół! Myśli pan,

że to może przynieść szczęście?

Maigret wysłuchał go do końca, współczująco kiwając głową, a następnie zamknął drzwi za gościem, którego oddech był aż ciężki od alkoholu.

A ojciec Ricaina? Czy teraz on z kolei się pojawi? Komisarz spodziewał się go. Wysłał jednego z inspektorów na Orly, a innego do hotelu Raphael, aby sfotografował tę stronę rejestru, którą pokazał mu portier.

- Dwóch dziennikarzy, panie komisarzu...

- Powiedz im, żeby zwrócili się do Janviera.

Inspektor wszedł chwilę później.

- Co mam im powiedzieć?

- Byle co, że śledztwo jest w toku.

- Sądziłem, że zastaną tu Ricaina i przyprowadzili ze sobą fotografa.

- Niech szukają. Niech pójdą na ulicę Świętego Karola, jeżeli mają na to ochotę.

Ociężale podążał za biegiem własnej myśli lub raczej wielu różnych sprzecznych ze sobą myśli. Czy miał rację, zwracając wolność Francisowi, w tym stanie podniecenia, w jakim się znajdował?

Daleko nie zajdzie z dwudziestoma frankami, które mu dał. Będzie musiał znów uganiać się za pieniędzmi, stukać do drzwi, obchodzić wszystkich przyjaciół.

- W końcu to nie moja wina, jeżeli...

Można by sądzić, że Maigret ma nieczyste sumienie, że ma sobie coś do wyrzucenia. Bezustannie powracał do samego początku sprawy, to znaczy do platformy autobusu.

Znów widział kobietę o pustej twarzy, której siatka na zakupy trącała go w nogi. Kurczak, masło, jaja, pory, seler naciowy. Zastanawiał się, dlaczego jeździła tak daleko od siebie po zakupy.

Młodzieniec palił za krótką i za dużą fajkę. Jego blond włosy były równie jasne jak odbarwione włosy Nory.

Wtedy nie znał jeszcze kochanki Carusa, która w Raphaelu, tak jak wszędzie indziej, podawała się za jego żonę.

Stracił na chwilę równowagę i ktoś delikatnie wyciągnął mu portfel z kieszeni.

Chciałby w pewnym sensie odtworzyć tę sytuację, która wydawała mu się najważniejsza. Nieznajomy wysiadł w biegu z autobusu na ulicy Temple i pognął zakosami wśród gospodyń domowych ku wąskim uliczkom dzielnicy Marais.

Zostawił w pamięci komisarza wyraźny obraz. Był pewien, że go rozpozna, ponieważ złodziej odwrócił się...

Dlaczego się odwrócił? I dlaczego, odkrywając tożsamość Maigreta dzięki zawartości portfela, włożył wszystko do brązowej koperty i odesłał właścicielowi?

W momencie kradzieży wydawało mu się, że jest osaczony... Był przekonany, że zostanie oskarżony o zabójstwo żony i uwięziony... Podał dziwną przyczynę, dla której nie chciał pozwolić, by go aresztowano... Klaustrofobia... o raz pierwszy w swojej trzydziestoletniej karierze komisarz słyszał, żeby podejrzany w ten sposób tłumaczył własną ucieczkę.

Maigret po zastanowieniu był jednak zmuszony przyznać, że być może czasem to się zdarza. On sam wsiadał do metra tylko wtedy, gdy musiał, ponieważ się w nim dusił.

A skąd brała się ta jego mania, żeby będąc w gabinecie, co chwila podnosić się i stawać przed oknem?

Zarzucono mu czasem, zwłaszcza panowie z prokuratury, że podejmuje się zadań, które należą do inspektorów, udaje się na miejsce wydarzeń, żeby wypytywać świadków, zamiast wzywać ich do siebie, wraca tam bez istotnego powodu, a nawet sam dokonuje obserwacji, w słońcu i w deszczu.

Lubił swój gabinet, ale już po dwóch godzinach odczuwał potrzebę ucieczki. W czasie śledztwa chciałby być wszędzie jednocześnie...

O tej porze Bob Mandille robił przerwę na sjętę, gdyż Vieux-Pressoir zamykano późno w nocy. Czy Rose też odpoczywała? Co mogłaby mu opowiedzieć, gdyby usiedli sam na sam przy stoliku w pustej restauracji?

Każde z nich miało inną opinię o Ricainie i Sophie. Niektórzy nie wahali się nawet w odstępie kilku godzin wyrażać sprzecznych uczuć - jak Carus.

Kim była Sophie? Jedną z tych smarkul, które rzucają się na szyję wszystkim mężczyznom? Ambitną dziewczyną, która sądziła, że ktoś taki jak Francis pozwoli jej poznać życie gwiazd filmowych?

Spotykała się z producentem w garsonierze przy ulicy Franciszka I. Oczywiście, jeżeli Carus mówił prawdę.

Była mowa o zazdrości Ricaina, który praktycznie nie odstępował żony. Nie wahał się jednak pożyczać pieniędzy od jej kochanka.

Czy wiedział? Czy przymykał oczy?

- Prosić...

Przewidział to. Tym razem był to ojciec Ricaina, wysoki i silny mężczyzna o młodym wyglądzie, mimo stalowoszarych włosów ostrzyżonych na jeża.

- Wahałem się, czy przyjść...

- Proszę usiąść, panie Ricain.

- Jest tu?

- Nie. Był tu rano, ale wyszedł.

Mężczyzna miał twarde rysy, jasne oczy i rozumny wyraz twarzy.

- Przyszedłbym wcześniej, ale prowadziłem pociąg z Ventimiglia do Paryża...

- Kiedy widział pan Francisa po raz ostatni?

Zdziwiony, powtórzył:

- Francisa?

- Tak go nazywa większość przyjaciół.

- W domu mówiliśmy François... Chwileczkę... Odwiedził mnie niedługo przed ostatnim Bożym Narodzeniem...

- Zachowaliście dobre stosunki?

- Tak rzadko się z nim spotykałem!

- A jego żona?

- Przedstawił mi ją kilka dni przed ślubem.

- Ile miał lat, gdy zmarła matka?

- Piętnaście... Był dobrym chłopcem, ale już wtedy miał trudny charakter i nie znosił sprzeciwu... Na nic zdawało się zabraniać mu postępowania według jego woli... Pragnąłem, żeby poszedł do pracy na kolei. Niekoniecznie jako robotnik... Mógł dostać dobrą posadę w biurze...

- Dlaczego przyszedł zobaczyć się z panem przed Bożym Narodzeniem?

- Aby prosić mnie o pieniądze, oczywiście... Nigdy nie przychodził po nic innego... Nie miał prawdziwego zawodu... Coś tam pisał, utrzymując, że pewnego dnia będzie sławny.

Starłem się jak najlepiej... Nie mogłem przecież go związać... Czasami przez trzy dni byłem nieobecny. Nie było mu wesoło wracać do pustego mieszkania i szykować sobie posiłki... A pan, co o tym wszystkim myśli, panie komisarzu?...

- Nie wiem.

Mężczyzna był zdziwiony. Żeby wysoki funkcjonariusz policji nie miał wyrobionego zdania, to przechodziło jego pojęcie.

- Nie uważa go pan za winnego?

- Do tej pory nic tego nie dowodzi, jak też nic nie dowodzi czegoś przeciwnego.

- Myśli pan, że ta kobieta była dla niego odpowiednia?... Nawet nie zadała sobie trudu, gdy mi ją przedstawiał, żeby włożyć sukienkę; przyszła w spodniach, w pantoflach, które były raczej trepami... Nieuczesała... Co prawda dużo się takich widuje na ulicy...

Nastąpiła dosyć długa cisza, podczas której pan Ricain rzucał krótkie i niepewne spojrzenia na komisarza. W końcu wyjął z kieszeni zniszczony portfel i podał komisarzowi kilka stufrankowych banknotów.

- Lepiej, żebym nie szedł do niego... Jeżeli ma ochotę spotkać się ze mną, wie, gdzie mieszkam... Przypuszczam, że znów jest bez pieniędzy... Może ich potrzebować, żeby opłacić dobrego adwokata...

Po krótkiej ciszy spytał:

- Ma pan dzieci, panie komisarzu?

- Niestety nie.

- Nie powinien czuć się opuszczony... Cokolwiek zrobił, jeżeli zrobił coś złego, nie jest za to odpowiedzialny... Proszę mu powiedzieć, że tak właśnie myślę... Proszę mu przekazać, że może przyjść do domu, kiedy będzie chciał... Nie zmuszam go do tego... Rozumiem...

Maigret patrzył wzruszony na banknoty, które szeroka i stwardniała ręka o kwadratowych paznokciach przesuwała po biurku.

- A więc - westchnął ojciec wstając i gniotąc kapelusz - o ile dobrze zrozumiałem, mogę jeszcze mieć nadzieję, że jest niewinny... Widzi pan, jestem o tym przekonany... Mimo tego co piszą w gazetach, nie mogę sobie wyobrazić, żeby zrobił coś podobnego...

Komisarz odprowadził go i uściśnął wyciągniętą z wahaniem rękę.

- Mogę mieć nadzieję?

- Nigdy nie należy jej tracić.

Gdy już został sam, o mało nie zadzwonił do doktora Pardon. Chciałby z nim porozmawiać, postawić mu kilka pytań. Co prawda, Pardon nie był psychiatrą. Nie był też zawodowym psychologiem.

Ale w swojej karierze lekarza dzielnicowego napatrzył się na najróżniejsze rzeczy i często jego zdanie utwierdzało Maigreta we własnych opiniach.

O tej godzinie Pardon był w swoim gabinecie, a w poczekalni siedziało w szeregu ze dwudziestu pacjentów. Dopiero w następnym tygodniu zasiądą do organizowanej co miesiąc wspólnej kolacji.

To dziwne, ale nagle bez szczególnego powodu miał przykre uczucie osamotnienia.

Był jedynie częstką skomplikowanej maszyny sprawiedliwości i miał do dyspozycji specjalistów, inspektorów, telefon, telegraf, współpracę wybranych przez siebie osób. Nad nim zaś była prokuratura, sędzia śledczy, a w końcu sędziowie i przysięgli sądu przysięgłych.

Dlaczego wobec tego czuł się odpowiedzialny? Zdawało mu się, że to od niego zależał los tej istoty ludzkiej, jeszcze nie wiedział jakiej, kobiety czy mężczyzny, która wzięła pistolet z szuflady białej komody i strzeliła do Sophie.

Od początku uderzył go pewien szczegół, którego nie zdołał jeszcze wytłumaczyć. Rzadko zdarza się, żeby podczas sprzeczki lub w chwili wzburzenia ktoś celował w głowę.

Nawet w przypadku obrony własnej odruchowo strzela się w klatkę piersiową i jedynie zawodowcy strzelają w brzuch, wiedząc, że rzadko można wyjść z tego cało.

Z odległości około metra zabójca celował w głowę... Żeby uwierzono w samobójstwo?

Skoro zostawił broń w kawalerce... W każdym razie, jeśli wierzyć Ricainowi...

Francis i Sophie wrócili do domu około dziesiątej... Potrzebowali pieniędzy... Wbrew swoim zwyczajom, Francis pozostawił żonę na ulicy Świętego Karola, a sam tymczasem ruszył na poszukiwanie Carusa lub innego przyjaciela mogącego pożyczyć mu dwa tysiące franków...

Dlaczego czekał, aż do tamtej nocy, skoro pieniądze miały być wpłacone następnego ranka? Wrócił do Vieux-Pressoir, uchylił drzwi, żeby zobaczyć, czy producent już przyszedł...

Carus był już wtedy we Frankfurcie, co właśnie sprawdzano na Orły. Nie powiedział o tej podróży ani Bobowi, ani nikomu innemu z ich paczki.

Nora natomiast była w Paryżu... Nie w swoim apartamencie w Raphaelu, jak to rano utrzymywała, ponieważ przeczył temu rejestr portiera...

Dlaczego skłamała? Czy Carus wiedział, że nie było jej w hotelu? Czy nie zadzwonił do niej, gdy już znalazł się we Frankfurcie?

Zadzwonił telefon.

- Halo?... Doktor Delaplanque... Mam łączyć?

- Tak... Halo!...

- Maigret?... Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale coś mnie dręczy od rana... Nie wspominam o tym w moim raporcie, ponieważ to dosyć niejasne... W czasie sekcji odkryłem lekkie ślady na nadgarstkach zmarłej, jak gdyby ścisano je z pewną gwałtownością... Nie są to prawdziwe sińce...

- Słucham.

- To wszystko... Nie twierdzę, że odbyła się walka, ale nie zdziwiłoby mnie to... Dosyć łatwo mogę sobie wyobrazić napastnika chwytającego ofiarę za nadgarstki i popychającego ją... Mogła upaść na tapczan, podnieść się, w chwili, gdy wstawiała, mógł strzelić... To by tłumaczyło, dlaczego kulę wyjęto ze ściany mniej więcej metr dwadzieścia nad ziemią, natomiast gdyby ta młoda kobieta stała...

- Rozumiem. Siniaki są nieznaczące?

- Jeden ślad jest nieco bardziej wyraźny od pozostałych... Mógłby to być ślad kciuka, ale niczego nie jestem w stanie stwierdzić na pewno. Dlatego nie mogę wykazać tego oficjalnie... Niech pan sam oceni, czy można to jakoś wykorzystać.

- W punkcie, w jakim się znalazłem, muszę korzystać ze wszystkiego. Dziękuję, doktorze.

Janvier stał milczący w drzwiach.

* * *

Wrócił do Grenelle, tym razem sam, z zawziętą miną, jak gdyby była to sprawa między nim a tą dzielnicą. Przeszedł się brzegiem Sekwany, zatrzymał czterdzieści metrów w górę rzeki od mostu Bir-Hakeim, tam, gdzie wrzucono i skąd wyłowiono pistolet, po czym skierował się ku wielkiej, nowej kamienicy przy bulwarze Grenelle.

Zdecydował się w końcu wejść do środka i zapukać do oszklonej służbówki dozorczyń. Była to młoda i uprzejma osoba. Do swojej dyspozycji miała mały, dobrze oświetlony salonik.

Pokazał jej odznakę i spytał:

- Czy to na pani spoczywa obowiązek pobierania czynszu?

- Tak, panie komisarzu.

- Oczywiście zna pani François Ricaina?

- Mieszkają od podwórza i rzadko tu wstępują... Chciałam powiedzieć wstępowali... To znaczy on, jak mi powiedziano, wrócił.. Ale ona... Znałam ich, oczywiście, i niezręcznie mi było bez przerwy upominać się o pieniądze... W styczniu poprosili o miesięczną zwłokę. Potem, piętnastego lutego, o następną... Właściciel zdecydował, że ich wyrzuci, jeżeli piętnastego marca nie zapłacą zaległych opłat...

- Nie zrobili tego?

- Piętnastego było przedwczoraj. W środę...

- Nie zaniepokoiła pani ich nieobecność?

- Nie oczekiwałam, że zapłacą... Rano Ricain nie przyszedł odebrać poczty i pomyślałam sobie, że woli mnie nie spotkać... Zresztą otrzymywali niewiele listów... Przede wszystkim prospekty i czasopisma, które prenumerował. Po południu poszłam do nich i zapukałam, ale nikt mi nie otworzył.

W czwartek rano znowu zapukałam, a ponieważ wciąż nie było odpowiedzi, spytałam jednego z lokatorów, czy czegoś nie słyszał... Nawet pomyślałam sobie, że może wyprowadzili się po cichu. Nie byłoby to trudne. Brama wychodząca na ulicę Świętego Karola jest zawsze otwarta.

- Co pani sądzi o Ricainie?

- Nie zwracałam na niego prawie wcale uwagi. Od czasu do czasu niektórzy lokatorzy skarżyli się, ponieważ Ricainowie słuchali muzyki i przyjmowali gości aż do wczesnych godzin rannych, ale inni też sobie tego nie odmawiają, zwłaszcza młodzi... Wyglądał na artystę...

- Coś jeszcze?

- Klepali biedę... To nie jest zabawne życie... Czy to pewne, że ona nie popełniła samobójstwa?

Nie dowiedział się niczego nowego i nie bardzo się o to starał. Krążył wokół, patrzył na otaczające go ulice, domy, otwarte okna, wnętrza sklepów.

O siódmej popchnął drzwi Vieux-Pressoir i poczuł się prawie rozczarowany nie widząc Fernandy usadowionej wysoko na swoim taborecie.

Bob Mandille przy jednym ze stolików czytał wieczorną gazetę, podczas gdy kelner kończył przygotowania, stawiając na każdym obrusie w kratę wysmukły kieliszek do szampana.

- No proszę!... Pan komisarz...

Bob wstał, podszedł uścisnąć dłoń Maigreta.

- A więc, cóż pan odkrył?... Dziennikarze nie są zadowoleni... Twierdzą, że wokół tej sprawy

robi się tajemnice i trzyma się ich od niej z daleka...

- Po prostu dlatego, że nie mamy im nic do powiedzenia.

- Czy to prawda, że wypuścił pan Francisa?

- Nigdy nie był uwięziony i może się swobodnie poruszać. Kto panu o tym powiedział?

- Huguet, fotograf, który mieszka w tej samej kamienicy, na czwartym. Ten, który miał już dwie żony i zrobił dziecko trzeciej... Zauważył Francisa na podwórzu, w chwili gdy ten wracał do siebie... Dziwi mnie, że nie przyszedł mnie odwiedzić... Proszę powiedzieć, czy on ma pieniądze?

- Dałem mu dwadzieścia franków, żeby coś przegryzł i miał na autobus...

- W takim razie niedługo się zjawi... Chyba że wstąpił do swojej redakcji i że jakimś cudem w kasie było trochę forsy... Od czasu do czasu to się zdarza...

- Nie widział pan Nory w środę wieczorem?

- Nie było jej!... Nie przypominam sobie zresztą, żebym ją kiedykolwiek widział bez Carusa... A ten był w podróży...

- W Niemczech, tak. A ona wyszła sama na miasto. Zastanawiam się, dokąd mogła pójść?

- Nie powiedziała tego panu?

- Utrzymuje, że wróciła do Raphaela około dziewiąte}.

- A to nieprawda?

- Rejestr portiera wskazuje, że było po jedenastej.

- Ciekawe...

Bob uśmiechnął się po swojemu ironicznie. Skrzywione wargi wyglądały na jego nieruchomej twarzy jak pęknięcie.

- To pana bawi?

- Proszę przyznać, że Carus by sobie na to zasłużył. Bez żenady korzysta ze wszystkich okazji... Byłoby zabawne, gdyby Nora, ze swej strony... Sądzę jednak, że to do niej niepodobne...

- Ponieważ go kocha?

- Nie, ponieważ jest zbyt inteligentna i zbyt wyrachowana. Nie zaryzykowałaby, że wszystko straci, gdy jest już tak blisko celu, dla jakiejś przygody, nawet z najbardziej czarującym mężczyzną.

- Może było dalej od celu, niż pan sądzi?

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Carus spotykał się regularnie z Sophie w wynajętym w tym celu mieszkaniu na ulicy Franciszka I.

- To było aż tak poważne?

- Przynajmniej on tak utrzymuje. Twierdzi nawet, że stanowiła całkiem niezły materiał na gwiazdę i że prędko by się nią stała.

- Mówi pan poważnie? Ten sam Carus, który... Ależ takich smarkul można znaleźć na

pęczki... Tylko przechodząc Polami Elizejskimi zebraloby się ich dosyć, żeby starczyło na wszystkie ekrany świata...

- Nora wiedziała o ich związku.

- W takim razie niczego już nie rozumiem... Co prawda, gdybym miał rozumieć sercowe sprawy moich klientów, nabawiłbym się wrzodów... Proszę pójść opowiedzieć to mojej żonie... Miałaby pretensje, gdyby nie przywitał się pan z nią. Czuje do pana słabość... Nie ma pan ochoty na kieliszek?

- Za chwilę.

Kuchnia była większa i bardziej nowoczesna, niż przypuszczał. Tak jak się spodziewał, Rose wytarła rękę o fartuch, zanim mu ją podała.

- A więc zdecydował się pan go wypuścić?

- To panią dziwi?

- Sama nie wiem... Każdy, kto tu przychodzi, ma swoje zdanie... Dla jednych Francis zrobił to z zazdrości... Dla innych to raczej sprawka kochanka, którego chciała się pozbyć... Dla jeszcze innych zemsta jakiejś kobiety...

- Nory?

- Kto to panu powiedział?

- Carus miał poważny związek z Sophie... Nora wiedziała o tym... Miał zamiar ją wylansować.

- To prawda, czy też wymyślił to pan, żeby mnie nakłonić do mówienia?

- Prawda. Czy to panią dziwi?

- Mnie?... Od dawna już nic mnie nie dziwi...

Pewnie nie przychodziło jej nawet na myśl, że w Policji Kryminalnej ma się całkiem niezłe doświadczenie w obcowaniu z ludźmi.

- Tylko, mój drogi komisarzu, jeżeli to sprawka Nory, trudno będzie to panu udowodnić, ponieważ jest wystarczająco sprytna, żeby was wszystkich wykiwać...

Zje pan tutaj?... Mam młodziutką kaczkę w pomarańczach. Przedtem mogę panu podać dwa lub trzy tuziny małż, które właśnie przyjechały z La Rochelle... Matka mi je przysłała... Tak, tak... Skończyła już siedemdziesiąt pięć lat, a każdego ranka jest na targu rybnym...

Fotograf Huguet przyszedł ze swoją przyjaciółką. Był rumianym chłopcem o naiwnej twarzy i wesołym wyglądem. Można było przysiąc, że z dumą pokazuje się w towarzystwie kobiety w siódmym miesiącu ciąży.

- Czy państwo się znają?... Komisarz Maigret... Jacques Huguet... Jego przyjaciółka...

- Jocelyne - wyjaśnił fotograf, tak jak gdyby było to ważne lub jakby znajdował przyjemność w wymawianiu tego poetyckiego imienia.

I, zwracając się do niej z tak przesadną gorliwością, że można było sądzić, iż się z niej

wyśmiewa:

- Czego się napijesz, kochanie?

Otoczał ją nieustanną troskliwą opieką, otulał gorącymi i czułymi spojrzeniami, zdając się mówić do innych: „Zobaczcie, jestem zakochany i wcale nie wstydę się tego... Kochaliśmy się... Spodziewamy się dziecka... Jesteśmy bardzo szczęśliwi... I nic nas nie obchodzi, jeżeli uważacie nas za śmiesznych.”

- Co zamawiacie, dzieci?

- Sok owocowy dla Jocelyne... Porto dla mnie...

- A pan, panie Maigret?

- Szklankę piwa.

- Francis nie przyszedł?

- Macie tu spotkanie?

- Nie, ale wydaje mi się, że będzie miał ochotę zobaczyć się z przyjaciółmi... Chociażby, by pokazać, że jest wolny, że nie zdołano go zatrzymać... Taki już jest...

- Miał pan wrażenie, że go zatrzymamy?

- Nie wiem. Trudno przewidzieć, co zrobi policja...

- Sądzi pan, że zabił żonę?

- To tak mało ważne, czy to on, czy ktoś inny! Nie żyje, prawda?... Jeżeli Francis ją zabił, to znaczy, że miał wystarczające powody...

- Jakie, według pana?

- Nie wiem... Być może miał jej dosyć?... Może urządziła mu sceny?... Albo go zdradzała?...

Powinno pozwolić się ludziom żyć, jak im się podoba, prawda, kochanie?

Weszli jacyś klienci, nie będący stałymi gośćmi, i wahali się, do którego stolika skierować kroki.

- Trzy osoby?

Chodziło bowiem o parę w sile wieku z młodą dziewczyną.

- Tędy...

Mogli więc obserwować wielkie przedstawienie Boba: karta, wypowiedane szeptem rady, pochwała białego wina z dorzecza Charente i zupy rybnej...

Czasem mrugał do przyjaciół, których zostawił przy barze.

Właśnie wtedy wszedł Ricain i zatrzymał się jak wryty, widząc komisarza w towarzystwie Hugueta i ciężarnej dziewczyny.

- A więc jesteś! - wykrzyknął fotograf. - Co się z tobą działo? Myśleliśmy, że siedzisz w najciemniejszym więziennym kącie...

Francis starał się uśmiechać.

- Jak widzisz, jestem tu. Dobry wieczór, Jocelyne... To z mojego powodu przyszedł pan tu,

komisarzu?

- Obecnie z powodu kaczk w pomarańczach...

- Co zamawiasz? - podszedł zapytać Bob, który przekazał już zamówienie kelnerowi.

- Czy to tutaj, to jest porto? - zawahał się. - Nie. Szkocką... Chyba że uważasz mój dług za zbyt okazały...

- Dzisiaj dostaniesz jeszcze na kredyt...

- A jutro?

- To będzie zależało od komisarza...

Maigret był nieco zbity z tropu tonem rozmowy, ale podejrzewał, że właśnie ten rodzaj dowcipu obowiązywał w ich paczce.

- Wstąpił pan do redakcji? - spytał Ricaina.

- Tak... Skąd pan wie?...

- Skoro potrzebował pan pieniędzy...

- Dostałem zaledwie stufrankową zaliczkę na poczet tego, co mi są winni...

- A Carus...

- Nie poszedłem do niego...

- Jednak szukał go pan w środę wieczorem, a potem prawie przez całą noc.

- Środa już minęła...

- Skoro o tym mowa - wtrącił fotograf - widziałem się z Carusem... Poszedłem do studia, gdzie właśnie zlecał zrobienie próbnych zdjęć jakiejś smarkuli, której nie znam... Nawet poprosił mnie o zdjęcia...

- Smarkuli?

Maigret zastanawiał się, czy kazał też zrobić zdjęcia Sophie...

- Będzie tu na kolacji... W każdym razie taki miał zamiar o trzeciej po południu, ale z nim nigdy nic nie wiadomo... Zwłaszcza z Norą... A skoro o niej mowa, to Norę też spotkałem...

- Dzisiaj?

- Dwa czy trzy dni temu... W miejscu, w którym nie spodziewałem się jej spotkać... Mały lokal w okolicy Saint-Germain-des-Pre, gdzie widuje się tylko młodzież...

- Kiedy to było? - spytał nagle czujny Maigret.

- Chwileczkę... Dzisiaj jest sobota... Piątek... Czwartek... Nie... W czwartek byłem na premierze baletu... To było w środę... Szukałem materiału na zdjęcia do artykułu o nastolatkach... Wskazano mi ten lokal...

- Która była godzina?

- Około dziesiątej... Tak, musiałem przyjść o dziesiątej... Jocelyne była ze mną... Jak sądzisz, kochanie?... Była dziesiąta, prawda?... Miejsce nędzne, ale malownicze, gdzie wszyscy chłopcy mieli za długie włosy...

- Widziała was?

- Nie sądzę... Siedziała w kącie z jakimś byczkiem, który już nie był nastolatkiem... Podejrzewam, że to właściciel, wyglądało, że poważnie dyskutują...

- Czy długo została?

- Wcisnąłem się do dwu czy do trzech pomieszczeń, gdzie prawie wszyscy tańczyli... To znaczy, o ile można to nazwać tańcem. Robili, co mogli, poprzyklejani do siebie...

Mignęła mi raz czy dwa, wśród głów i ramion... Wciąż rozmawiała... Facet wyciągnął z kieszeni ołówek i zapisywał jakieś liczby na kawałku papieru...

Śmiać mi się chce, jak o tym pomyślę... Już na co dzień nie ma zbyt rzeczywistego wyglądu... Tam, w tamtym dziwnym świecie, zasługiwała na zdjęcie...

- Ale go nie zrobiłeś?

- Nie jestem głupi! Nie zależy mi na ściągnięciu na siebie kłopotów z wujciem Carusem... Dobra połowa mojego befsztyka zależy od niego...

Usłyszano, jak Maigret zamawia:

- Jeszcze jedno piwo, Bob...

Jego głos i postawa nie były już całkiem takie same.

- Czy może mi pan zarezerwować kącik, który zajmowałem wczoraj?

- Nie zje pan z nami? - zdziwił się fotograf.

- Innym razem.

Musiał zostać sam, zastanowić się. Raz jeszcze, przypadkiem, pogmatwano mu myśli, które poskładał sobie pracownicy i nic już do siebie nie pasowało.

Francis zaniepokojony spoglądał na niego ukradkiem. Bob również miał świadomość zmiany, jaka w nim zaszła.

- Można by sądzić, że zaskoczyło pana, iż Nora poszła do takiego miejsca...

Ale komisarz, zwrócony do Hugueta, spytał:

- Jak nazywa się ten lokal?

- Czy pan też chce podjąć badania nad beatnikami? Chwileczkę... Szyld nie jest zbyt oryginalny... Musi pochodzić z czasów, gdy było to tylko bistro dla kloszardów... Pod Asem Pikowym... Tak... Po lewej stronie, idąc w górę ulicy...

Maigret opróżnił swoją szklanę.

- Proszę zarezerwować mi mój kącik - powtórzył.

Kilka chwil później taksówka wiozła go w stronę placu Contrescarpe.

W dziennym świetle miejsce to miało jakiś nieprzyjemnie sinawy wygląd. Można było w nim ujrzeć tylko trzech mocno owłosionych klientów i jedną dziewczynę w marynarce i męskich spodniach, palącą małe cygaro. Jakiś facet w długim swetrze wyłonił się z drugiej sali i ustawił za barem, patrząc nieufnie.

- Co pan zamawia?

- Piwo - odparł machinalnie Maigret.

- A potem?

- Nic.

- Żadnych pytań?

- Co pan ma na myśli?

- Że nie urodziłem się wczoraj i że jeśli komisarz Maigret wchodzi tutaj, to nie dlatego, że ma pragnienie. Więc czekam na zgłoszenie koloru.

Z kpiarską miną mężczyzna nalał sobie mały kieliszek.

- Ktoś przyszedł do pana w środę wieczorem...

- Setki takich „ktosiów”, o ile pozwoli mi pan go poprawić.

- Mówię o kobiecie, z którą prowadził pan długą konwersację.

- Kobiet była połowa i z pewnymi z nich prowadziłem, jak się pan wyraził, konwersację.

- Nora.

- A więc doszliśmy i do tego. I co dalej?

- Co tu robiła?

- To, co przychodzi robić średnio raz na miesiąc.

- To znaczy?

- Upomnieć się o rachunki.

- Ponieważ?

Zdumiony Maigret odgadł prawdę, zanim jeszcze mężczyzna mu ją wyjawiał.

- Ponieważ jest szefową! Ależ tak, panie komisarzu! Nie rozgłasza tego na wszystkie strony... Nie jestem pewien, czy papa Carus wie o tym... Każdy ma prawo lokować swoje pieniądze, jak mu się podoba, prawda?...

Nic panu nie powiedziałem... Pan mi opowiada jakąś historię, a ja nie mówię ani tak, ani nie... Nawet wtedy, gdy mnie pan spyta, czy ma jeszcze inne lokale tego rodzaju...

Maigret spojrzał na niego pytająco, a mężczyzna przymknął twierdząco powieki.

- Są ludzie, którzy wiedzą, skąd wieje wiatr - zakończył lekkim tonem. - Nie zawsze ci, którzy uważają się za sprytnych, robią najlepsze interesy... Z trzema takimi lokalami jak ten, już po roku żyłbym sobie spokojnie na Lazurowym Wybrzeżu... A co dopiero z mniej więcej dziesięcioma, z których jedno znajdują się na Pigalle, a jeszcze inne na Polach Elizejskich...

VII

Gdy Maigret ponownie wkroczył do Vieux-Pressoir, połączono już ze sobą trzy stoliki i zaczęto wspólną kolację. Carus zauważywszy go wstał i skierował się w jego stronę z kraciatą serwetką w ręku.

- Mam nadzieję, że robi nam pan przyjemność i dołączy do nas?

- Proszę nie mieć mi tego za złe, ale wolę zjeść w swoim kącie.

- Obawia się pan usiąść do stołu z kimś, kogo prędzej czy później będzie pan zmuszony aresztować?

Patrzył mu w oczy.

- Ponieważ istnieją wszelkie dane, żeby sądzić, że morderca biednej Sophie znajduje się dziś wieczorem wśród nas, prawda? No cóż!... Jak pan woli... Prosimy przynajmniej o wypicie armaniaku w naszym towarzystwie...

Bob zaprowadził Maigreta do stolika w rogu sali, obok obrotowych drzwi, inspektor zamówił polecane przez Rose małże i kaczkę w pomarańczach.

Widział ich przed sobą, siedzących w dwóch rzędach. Już na pierwszy rzut oka było oczywiste, że najważniejszą osobą jest Carus. Jego zachowanie, sposób bycia, gesty, głos, spojrzenie zdradzały kogoś świadomego własnej wartości i rangi.

Ricain zajął miejsce naprzeciw niego, jakby z zalem i niechętnie włączając się do rozmowy. Dramin był w towarzystwie młodej kobiety, której Maigret jeszcze nie znał, osoby dosyć przygaszonej, ledwo umalowanej, skromnie ubranej, która, jak mu później powiedział Bob, była montażystką.

Maki jadł dużo, popijał tego, spoglądał kolejno na swoich towarzyszy i reagował pomrukami na zadawane mu pytania.

Producentowi najczęściej odpowiadał Huguet. Wydawał się być w doskonałej formie i w dalszym ciągu rzucał spojrzenia zadowolonego właściciela na brzuch łagodnej Jocelyne.

Z oddali nie dało się śledzić rozmowy. Jednak dzięki fragmentom zdań, okrzykom, tym, co malowało się na twarzach, Maigretowi udawało się odtworzyć w przybliżeniu jej sens.

- Zobaczymy, czyja teraz przyjdzie kolej - powiedział figlarny fotograf.

Na chwilę zwrócił wzrok w stronę komisarza.

- Obserwuje nas... Teraz, gdy już wycisnął wszystko, co było do wyciśnięcia z Francisa, weźmie się za kogoś innego... Jeśli w dalszym ciągu będziesz robił takie miny, Dramin, padnie na ciebie...

Siedzący samotnie klienci obserwowali ich z daleka i zazdrościli zabawy. Carus zamówił szampana i dwie butelki chłodziły się w srebrnych wiaderkach. Od czasu do czasu Bob podchodził osobiście do stolika, żeby rozlać go do kieliszków.

Ricain pił dużo, on właśnie pił najwięcej i ani razu nie uśmiechnął się po żartach fotografa, które nie zawsze były w najlepszym guście.

- Zachowuj się naturalnie, Francis... Nie zapominaj, że oko Boga jest w tobie utkwione...

Miał na myśli Maigreta. Czy przedtem bywali zabawniejsi, gdy zdarzało im się spotykać razem wieczorem?

Carus pomagał, jak mógł Huguetowi w rozładowywaniu atmosfery. Nora natomiast obdarzała ich po kolei lodowatym spojrzeniem.

W gruncie rzeczy kolacja przypominała stypę i jej uczestnikom brakowało naturalności, być może częściowo dlatego, że wszyscy odczuwali obecność komisarza.

- Założę się, że pewnego dnia zrobisz z tego film, który nasz dobry przyjaciel Carus wyprodukuje... Wszystkie dramaty tak się kończą...

- Zamknij się, dobrze?

- Przepraszam... Nie wiedziałem, że ty...

Jeszcze gorzej było, gdy zapadała cisza. W rzeczywistości wcale nie było między nimi przyjaźni. Nie wybrali swojego towarzystwa. Każdy miał własne, egoistyczne powody, żeby tam bywać.

Czyż nie zależeli wszyscy od Carusa? Począwszy od Nory, która wyciągała od niego pieniądze na kupowanie nocnych lokali. Nie miała żadnej pewności, że pewnego dnia ją poślubi i wolała się zabezpieczyć.

Czy podejrzewał to? Czy jednak sądził, że kocha go dla niego samego?

Mało prawdopodobne. Był realistą. Potrzebował towarzyszki życia, a ona na razie jeszcze dobrze się do tego nadawała. Musiało mu nawet odpowiadać, że tak bardzo rzuca się w oczy, że zwraca uwagę wszędzie, dokąd idą razem.

- To Carus i jego przyjaciółka... Nora... Dziwna postać... Czemu nie?... Mimo to został kochankiem Sophie i miał zamiar zrobić z niej gwiazdę.

Co oznaczało, że pozbędzie się Nory... Przed nią miał inne... I będzie miał inne...

Dramin obnosił się po świecie z nie ukończonymi scenariuszami, w które Carus mógł tchnąć życie... Pod warunkiem, że uwierzy w jego talent...

Francis był w takim samym położeniu, z tą różnicą, że okazywał mniej pokory, mniej cierpliwości, że przybierał często agresywną postawę, zwłaszcza po wypiciu paru kieliszków.

Co do Makiego, to przeżuwał swoje myśli w samotności... Jego rzeźby nie sprzedawały się jeszcze... W oczekiwaniu, że marszandzi zainteresują się nimi, malował dobre albo złe dekoracje dla Carusa czy też dla kogoś innego. Był zadowolony, gdy nie musiał płacić za obiad. Jadł wtedy podwójnie i zamawiał najdroższe dania...

Maigretowi najtrudniej było ocenić fotografa... Na pierwszy rzut oka nie liczył się... We wszystkich prawie grupach, które często się spotykają, można znaleźć ten rodzaj prostaczka z

dużymi, jasnymi oczami, grającego rolę żartownisia... Jego pozorna prostoduszność pozwalała mu wygarniać prawdę prosto z mostu, rzucać czasem jakąś niemiłą uwagę, której nie tolerowano by ze strony kogoś innego.

Nawet zawód czynił z niego osobę mało ważną... Śmiano się zarówno z niego, jak i z jego ciężarnych kobiet...

Wycierając ręce, Rose podeszła upewnić się, że wszyscy są zadowoleni i zgodziła się wypić na stojąco lampkę szampana.

Od czasu do czasu Bob stawał przed Maigretem.

- Robią, co mogą... - szeptał spoglądając na niego porozumiewawczo.

Brakowało Sophie. Każdy to odczuwał. Jak się zachowywała przy takich okazjach?

Zapewne siedziała naburmuszona albo onieśmielona, wiedząc jednak, że to nią interesuje się bogaty mężczyzna należący do ich paczki, „ten producent Carus”. Czy nie spotkała się z nim znowu tego samego popołudnia w garsonierze na ulicy Franciszka I?

- Bądź cierpliwa, kotku... Zajmę się tobą...

- A Nora?

- To już nie potrwa zbyt długo... Przygotowuję ją... Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztować...

- Francis?

- Na początku będzie zły, że odniosłaś sukces przed nim i że zarabiasz dużo pieniędzy... Przywyknie... Powierzę mu reżyserię jakiegoś filmu... Potem, gdy sytuacja dojrzeje, będziesz mogła poprosić o rozwód...

Czy tak to się odbywało? Carus też ich potrzebował. To właśnie lansując młodych zarabiał najwięcej pieniędzy. Ten rodzaj dworu, który otaczał go w Vieux-Pressoir, dawał mu większe poczucie własnej wartości niż obiady z bogatszymi i bardziej wpływowymi od siebie finansistami.

Bob, który niósł dwie nowe butelki do wspólnego stolika, mrugnął porozumiewawczo. Ricain, oburzony żartami fotografa, odpowiadał oschle. Można było przewidzieć chwilę, gdy wstanie wyczerpany i oddali się samotnie. Jeszcze nie śmiał, tłumiąc zniecierpliwienie.

Tak, to prawdopodobnie ktoś z ich grona zabił Sophie. Maigret, któremu z powodu gorąca krew uderzyła do głowy, obserwował ich twarze.

Carus był w środę wieczorem we Frankfurcie, co potwierdzono na Orły. Nora natomiast rozmawiała między dziesiątą a jedenastą o wpływach z kasy w naelektryzowanej atmosferze Asa Pik.

Maki?... Ale dlaczego Maki miałby zabijać?... Przespał się z Sophie właściwie przez przypadek, ponieważ tego od niego oczekiwała, tak jak zdaje się od wszystkich przyjaciół. Był to jej sposób na dodanie sobie odwagi i udowodnienie, że ma wdzięk, że nie jest byle jaką smarkulą

zbzikowaną na punkcie kina.

Huguet?... Miał już trzy żony... Była to - jak się wydaje - jakaś obsesja, tak jak robienie im dzieci... Ciekawe w jaki sposób udaje mu się wyżywić to stadko...

Co do Francisca...

Maigret znów roztrząsał rozkład dnia Ricaina... Powrót na ulicę Świętego Karola koło dziesiątej wieczorem... Pałaca potrzeba pieniędzy... Miał nadzieję, że spotka Carusa w Vieux-Pressoir, ale jego tam nie było... Bob odmówił ze względu na wysokość sumy...

Pozostawił Sophie w domu...

Właśnie, dlaczego, skoro zazwyczaj ciągał wszędzie żonę ze sobą?

- Nie! - wykrzyknął fotograf. - Nie tutaj, Jocelyne... Nie pora na spanie...

I zaczął im tłumaczyć, że odkąd żona jest w ciąży, zasypia w każdej chwili i byle gdzie.

- Niektóre żądają korniszonów, inne pozerają nóżki wieprzowe albo głowiznę cielecą... A ona śpi... Nie tylko śpi, ale i chrapie...

Maigret nie zwracał na niego uwagi, starając się odtworzyć kroki Ricaina, aż do chwili, gdy ten ukradł mu portfel na platformie autobusu jadącego ulicą Temple.

Ricain nie zatrzymał sobie ani grosza... Zadzwoił do niego, żeby mu powiedzieć, że...

Nabił fajkę i zapalił ją. Można było sądzić, że on też zasypia w swoim kącie nad filiżanką kawy.

- Nie przyjdzie pan wypić z nami strzemiennego, komisarzu?

Znowu Carus... Maigret zdecydował się usiąść na chwilę razem z towarzystwem producenta...

- A więc - zażartował Huguet - kogo pan aresztuje? To robi dosyć duże wrażenie, gdy czuje się, że jest pan tutaj i cały czas się nam przygląda... Chwilami wydaje mi się, że mam duszę winowajcy...

Ricain wyglądał tak źle, że nikt nie zdziwił się, gdy pospiesznie wstał od stołu i rzucił się w stronę toalety.

- Powinno istnieć prawo picia, tak jak istnieje prawo jazdy... - powiedział w zamyśleniu Maki.

Rzeźbiarz otrzymałby na pewno takie prawo bez najmniejszego wysiłku, ponieważ bez przerwy opróżniał kieliszki, a jedynym tego skutkiem stały się błyszczące oczy i ceglasta cera.

- Za każdym razem jest z nim to samo...

- Pańskie zdrowie, panie Maigret - powiedział Carus, podnosząc swój kieliszek. - Chciałem powiedzieć, za sukces pańskiego śledztwa, gdyż spieszo nam wszystkim, żeby odkrył pan prawdę...

- Wszystkim, poza jedną osobą! - sprostował fotograf.

- Poza jedną osobą, być może... Chyba że nie chodzi o kogoś spośród nas.

Gdy powrócił Francis, miał zaczerwienione powieki i był zmieniony na twarzy. Mimo że nikt go o nic nie prosił. Bob przyniósł szklankę wody.

- Już lepiej?

- Nie toleruję już alkoholu...

Unikał wzroku Maigreta.

- Myślę, że pójdę się położyć...

- Nie poczekaasz na nas?

- Zapominacie, że od trzech dni niewiele spałem...

Z wyrazem zmieszania na twarzy wydawał się młodszy. Przypominał zbyt wyrośniętego chłopca, który choruje po pierwszym cygarze i wstydzi się tego.

- Cześć...

Wszyscy spostrzegli, jak Carus wstał, poszedł za nim do drzwi i powiedział coś półgłosem. Następnie usiadł przy stoliku, który zajmował przedtem Maigret, odsunął filiżankę po kawie i wypełnił puste miejsce na czeku, na który, spoglądając w inną stronę, czekał Francis.

- Nie mogłem zostawić go w potrzebie... Gdybym w środę był w Paryżu, być może nic by się nie wydarzyło... Zjadłbym tu kolację... Poprosiłby mnie o pieniądze na czynsz i nie zostawiłby Sophie samej...

Maigret wzdygnął się, powtórzył w myślach usłyszane zdanie i popatrzył na nich kolejno raz jeszcze.

- Czy pozwolą państwo, że już ich pożegnam?

Musiał znaleźć się na zewnątrz, ponieważ zaczynało mu brakować powietrza. Może on także wypił za dużo. W każdym razie zostawił w kieliszku resztę armaniaku.

Bez określonego celu, z rękami w kieszeniach, szedł przed siebie chodnikiem, przy którym jeszcze pozostało oświetlonych kilka wystaw. Zatrzymywały się przed nimi zwłaszcza pary, aby obejrzeć pralki i telewizory. Byli to młodzi ludzie snujący marzenia i robiący rachunki.

- Sto franków miesięcznie, Louis...

- Plus dwieście pięćdziesiąt na samochód...

Francis i Sophie na pewno też tak spacerowali po dzielnicę, trzymając się pod rękę.

Czy marzyli o pralce i telewizorze?

Samochód już mieli. Był to stary, zniszczony triumph, porzucony przez Ricaina w czasie pamiętnej, środowej nocy. Czy wrócił po niego?

Dzięki czekowi, który właśnie otrzymał, będzie mógł opłacić czynsz... Czy miał zamiar mieszkać sam w kawalerce, w której zamordowano mu żonę?

Maigret przeszedł na drugą stronę bulwaru. Jakiś starzec spał na ławce. Wyrosła przed nim wielka, nowa kamienica, w której prawie połowa okien była oświetlona.

Pozostali lokatorzy byli w klnie, u przyjaciół albo też zasiedzieli się przy restauracyjnym

stoliku, tak jak w Vieux-Pressoir.

Powietrze było w dalszym ciągu ciepłe, ale przed księżycem w pełni zaczęły przesuwać się niebawem wielkie chmury.

Na rogu ulicy Świętego Karola Maigret skręcił i wszedł na podwórze. Obok drzwi Ricaina jaśniało małe okienko z matową szybą. To od łazienki z krótką wanną.

Inne drzwi, inne oświetlone okna, zarówno po stronie kawalerek, jak i w głównym budynku...

Opustoszałe, ciche podwórko, pojemniki na śmieci na swoich miejscach, jakiś kot przemykający się ukradkiem wzdłuż ścian...

Od czasu do czasu któreś z okien zamykało się, jakaś lampa gasła. To u tych, którzy szli wcześniej spać. Potem na czwartym piętrze w jednym z okien zapaliło się światło. Przypominało to trochę gwiazdy, które świecą lub znikają na niebie.

Wydało mu się, że rozpoznaje za roletą potężną sylwetkę Jocelyne i zmierzwione, tworzące aureolę, włosy fotografa.

I wtedy jego wzrok przesunął się z czwartego piętra na parter.

- Około dziesiątej...

Znał na pamięć rozkład tej nocy. Huguetowie zjedli kolację w Vieux-Pressoir, a ponieważ byli sami przy stoliku, kolacja musiała być krótka. O której wrócili?

Jeśli chodzi o Ricaina i Sophie, to otworzyli drzwi kawalerki i zapalili światło około dziesiątej. Następnie, prawie natychmiast, Francis wyszedł...

Maigret dalej obserwował poruszające się na górze sylwetki... Potem została już tylko jedna, sylwetka fotografa... Huguet otworzył okno i przez chwilę spoglądał na niebo... W chwili gdy miał już odejść, jego wzrok przesunął się w dół... Musiał zobaczyć oświetlone okno kawalerki i, pośrodku pustego podwórka, postać komisarza odcinającą się w świetle księżyca...

Komisarz opróżnił fajkę, stukając nią o obcas, i wszedł do kamienicy. Idąc z podwórza nie musiał przechodzić przed służbówką dozorczyń. Wszedł do windy, nacisnął przycisk czwartego piętra i upłynęła dobra chwila, zanim odnalazł drogę wśród korytarzy.

Gdy zastukał do drzwi, można było pomyśleć, że Huguet oczekuje jego wizyty, ponieważ otworzył natychmiast.

- To pan!... - powiedział z dziwnym uśmiechem. - Żona właśnie kładzie się spać... Wejdzie pan, czy też woli, żebym zszedł z panem na dół?

- Byłoby może lepiej, żebyśmy zeszli?

- Chwileczkę... Uprzedzę ją i wezmę papierosy...

Można było dojrzeć pokój dzienny w nieładzie, z rzuconą na fotel sukienką, którą Jocelyne nosiła tego wieczoru.

- Ależ nie... Ależ nie... Zapewniam cię, że zaraz wrócę...

Potem mówił ciszej. Ona szeptała. Drzwi sypialni pozostały otwarte.

- Na pewno?

- Nie martw się... Do zobaczenia za kilka minut...

Nie nosił nigdy kapelusza. Nie wziął też płaszcza.

- Chodźmy...

Winda była wciąż na czwartym piętrze. Zjechali na dół.

- W którą stronę?... Na bulwar czy na podwórko?

- Na podwórko.

Dotarli tam, idąc ramię przy ramieniu w ciemności. Gdy Huguet podniósł głowę, zauważył żonę, która patrzyła przez okno i dała mu znak, żeby wracał.

W oknie łazienki Ricaina paliło się światło. Czy po raz kolejny miał kłopoty z żołądkiem?

- Zgadł pan? - odkaszlnąwszy spytał w końcu fotograf.

- Sam się zastanawiam.

- Wie pan, to nie jest przyjemna sytuacja... Od tamtej chwili silę się na dowcipy... Przed chwilą, przy stole, spędziłem najgorszy wieczór w życiu.

- To było widać.

- Ma pan zapałki?

Maigret podał mu swoje pudełko i zaczął powoli nabijać jedną z dwu fajek, jakie nosił w kieszeni.

VIII

- Czy Ricain i jego żona jedli w środę wieczorem kolację w Vieux-Pressoir?

- Nie... Prawdę mówiąc, jadali tam tylko wtedy, gdy mieli pieniądze lub gdy znali kogoś, kto ich zaprosił... Wpadali koło dziewiątej... Wtedy wszedł tylko Francis... Często wieczorem tylko uchylał drzwi... Gdy był tam Carus, wchodził, a w ślad za nim Sophie i siadali przy jego stoliku...

- Z kim rozmawiał w środę?

- Gdy go zobaczyłem, zamienił tylko ze trzy słowa z Bobem... Spytał: „Czy jest Carus?”

A gdy mu odpowiedziano, że nie, wyszedł...

- Nie próbował pożyczyć pieniędzy?

- Nie wtedy...

- Jeżeli liczył, że Carus zaprosi go na kolację, to znaczy, że jeszcze nie jedli?

- Musieli coś przegryźć w barze samoobsługowym, na ulicy La-Motte-Picquet. Często tam chodzili.

- Czy długo siedzieliście z żoną przy stole?

- Wyszliśmy z Vieux-Pressoir około dziewiątej... Spacerowaliśmy przez mniej więcej kwadrans dla zaczerpnięcia powietrza... Wróciliśmy do domu i Jocelyne natychmiast się rozebrała... Odkąd jest w ciąży, tylko by spała...

- Słyszałem...

Fotograf spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- Mówił pan o tym przy kolacji. Podobno nawet chrapie.

- Moje obie były żony też... Myślę, że wszystkie kobiety chrapią, gdy są w ciąży od kilku miesięcy. Powiedziałem to, żeby się z nią poprzekomarzać...

Mówił półgłosem, w ciszy, którą zakłócał jedynie hałas samochodów na bulwarze Grenelle, z drugiej strony budynku. Ulica Świętego Karola za otwartą kratą bramy była opustoszała i jedynie od czasu do czasu w oddali widać było sylwetkę przechodnia lub kroczącą na wysokich obcasach kobietę.

- Co pan zrobił?

- Położyłem ją do łóżka i poszedłem ucałować dzieci... Prawda, przecież obie były żony mieszkały w tej samej kamienicy, pierwsza z dwójką dzieci, a druga z jednym.

- Robi to pan co wieczór?

- Prawie. Chyba że wracam za późno...

- Dobrze pana przyjmują?

- Dlaczego by nie?... Nie mają do mnie żalu... Znają mnie... Wiedzą, że nie potrafię inaczej...

- Innym słowy, pewnego dnia opuści pan Jocelyne dla innej?

- Jeśli tak się przydarzy... Wie pan, nie przywiązuję do tego wagi... Uwielbiam dzieci...

Największym człowiekiem w historii był Abraham...

Trudno było nie uśmiechnąć się, zwłaszcza że tym razem mówił szczerze. W rzeczywistości, mimo jego niekiedy mało wybrednych żartów, były w nim pokłady dobroduszości.

- Zostałem chwilę z Nicole... Nicole to moja druga. Zdarza nam się coś w rodzaju powrotów...

- Jocelyne wie o tym?

- Nie niepokoi jej to... Gdybym taki nie był, nie byłaby ze mną...

- Poszliście do łóżka?

- Nie... Myślałem o tym... Dzieciak zaczął mówić przez sen i wyszedłem na palcach...

- Która była godzina?

- Nie spojrzałem na zegarek... Wróciłem do siebie. Odruchowo zmieniłem kliszę w jednym z aparatów, ponieważ następnego dnia wcześniej rano miałem robić zdjęcia... Potem podszedłem do okna i otworzyłem je...

Otwieram je każdej nocy, najpierw szeroko, aby rozproszyć dym papierosowy, a potem tylko przysmykam, ponieważ tak zimą jak i latem nie mogę spać przy zamkniętym...

- A potem?

- Palilem ostatniego papierosa... Świecił księżyc, tak jak dzisiaj... Zobaczyłem przemierzającą podwórze parę, w której rozpoznałem Francisa i jego żonę... Nie trzymali się pod ramię, jak to mieli w zwyczaju, lecz prowadzili ożywioną rozmowę...

- Niczego pan nie słyszał?

- Jedno zdanie, które Sophie wypowiedziała ostrym tonem, co pozwalało sądzić, że jest rozgniewana...

- Czy często jej się to zdarzało?

- Nie... Powiedziała: „Nie udawaj niewiniątka... Bardzo dobrze o tym wiedziałeś...”

- Odpowiedział?

- Nie... Schwycił ją za łokieć i pociągnął w stronę drzwi...

- W dalszym ciągu nie wie pan, która była godzina?

- Wiem. Usłyszałem, jak zegar na kościele wybija dziesiątą... W łazience zabłysło światło...

Zapaliłem następnego papierosa...

- Był pan zaciekawiony?

- Po prostu nie byłem śpiący... Nalałem sobie kieliszek calvadosu...

- Był pan sam w pokoju?

- Tak... Drzwi do sypialni były otwarte, a światło zgaszone, żeby Jocelyne mogła spać...

- Ile czasu upłynęło?

- Tyle, ile trzeba na dokończenie papierosa, którego zapaliłem u pierwszej żony, a potem na następnego, wypalonego przed oknem... Trochę ponad pięć minut? W każdym razie mniej niż

dziesięć...

- Niczego pan nie słyszał?

- Nie... Zobaczyłem, jak Francis wychodzi i kieruje się szybko ku bramie... Zawsze zostawiał samochód na ulicy Świętego Karola... Po kilku minutach silnik zaczął kasłać, a trochę później auto ruszyło...

- Kiedy pan zszedł?

- Kwadrans później...

- Dlaczego?

- Już panu mówiłem... Nie byłem śpiący... Miałem ochotę porozmawiać...

- Tylko porozmawiać?

- Może nie tylko...

- Czy utrzymywał pan już wcześniej stosunki z Sophie?

- Chce pan wiedzieć, czy z nią spałem?... Raz... Francis był zalany, a ponieważ nie zostało już nic do picia, wyszedł, żeby kupić butelkę w jakimś otwartym jeszcze barze...

- Zgodziła się?

- Wydało się jej to całkiem naturalne...

- A potem?

- Potem nic... Ricain wrócił bez butelki, bo odmówiono mu sprzedaży... Położyliśmy go do łóżka... W następnych dniach nie było już o niczym mowy...

- Wróćmy do środy wieczorem... Zszedł pan...

- Zbliżyłem się do drzwi... Zastukałem... I żeby Sophie nie przestraszyła się, powiedziałem szeptem: „To ja, Jacques...”

- Nikt nie odpowiedział?

- Nie... Żaden odgłos nie dochodził z wewnątrz...

- Nie wydało to się panu dziwne?

- Pomyślałem sobie, że pokłóciła się z Francisem i nie miała ochoty nikogo widzieć...

Wyobrażałem ją sobie na łóżku, wściekłą albo we łzach...

- Ponowił pan pukanie?

- Zastukałem dwa czy trzy razy, potem wróciłem na górę...

- Wrócił pan do okna?

- Kiedy byłem już w pidżamie, rzuciłem okiem na podwórko... Było puste... W łazience u Ricainów światło pozostawało zapalone... Położyłem się i zasnąłem...

- Proszę dalej...

- Wstałem o ósmej i przygotowałem sobie kawę, podczas gdy Jocelyne jeszcze spała... Otworzyłem okno na oścież i zauważyłem, że w oknie łazienki Francisa ciągle pali się światło...

- Czy nie wydało to się panu dziwne?

- Nie bardzo... Przecież takie rzeczy się zdarzają... Poszedłem do atelier, gdzie pracowałem aż do pierwszej, potem wyszedłem i zjadłem coś naprędce z kolegą. Miałem spotkanie w Ritzu z pewnym amerykańskim aktorem, który przez godzinę kazał na siebie czekać, a potem ledwo dał mi czas na zrobienie zdjęć... Krótko mówiąc, była już czwarta, kiedy wróciłem...

- Żona nie wychodziła?

- Tak... Po zakupy... Po obiedzie położyła się znowu... Spała...

Zdawał sobie sprawę z komizmu tego refrenu.

- Światło wciąż...

- ...paliło się, tak...

- Zszedł pan, żeby zapukać do drzwi?

- Nie... Zatelefonowałem... Nikt nie odebrał... Ricain musiał wrócić, przespać się i wyjść razem z żoną, zapominając je zgasić...

- Czy to im się zdarzało?

- To zdarza się wszystkim... Następnie... Poszliśmy, Jocelyne i ja, do kina na Polach Elizejskich...

Maigret o mało nie mruknął: „Zasnęła?”

W tej chwili kot podszedł otrzeć się o jego spodnie i patrzył, jakby prosząc o pieszczotę. Ale gdy Maigret nachylił się, odskoczył i zaczął miauczeć dwa metry dalej.

- Do kogo należy?

- Nie wiem... Do wszystkich... Rzuca mu się przez okno kawałki mięsa, a on spędza całe życie na dworze...

- O której wrócił pan w czwartek wieczorem?

- Około wpół do jedenastej... Po kinie wstąpiliśmy na szklankę piwa i spotkałem kolegę...

- Światło?

- Oczywiście... Ale to już nie dziwiło, bo Ricainowie mogli wrócić... Jednak zadzwoniłem... Przyszła, że gdy nikt nie odebrał, byłem trochę zaniepokojony...

- Tylko trochę?

- Przecież nie mogłem domyślić się prawdy... Gdyby trzeba było podejrzewać o morderstwo za każdym razem, gdy ktoś zapomni zgasić u siebie światło...

- A więc...

- No proszę!... Teraz znowu nie zgasił... Nie sądzę, żeby był zajęty pracą...

- Następnego dnia rano?

- Oczywiście zadzwoniłem znowu, i jeszcze dwa razy w ciągu dnia... aż dowiedziałem się z gazet, że Sophie nie żyje... Byłem w Joinville, w studiu, i robiłem zdjęcia na planie filmowym...

- Czy ktoś odebrał?

- Tak... Głos, którego nie znam... Wolałem milczeć i odczekawszy kilka chwil odłożyłem

słuchawkę...

- Nie próbował pan skontaktować się z Ricainem?

Huguet zamilkł. Potem wzruszył ramionami i znowu przybrał wyraz twarzy komika.

- No wie pan, nie pracuję na Quai des Orfèvres!

Maigret, który spoglądał bezwiednie na przytłumione matową szybą światło, ruszył nagie pospiesznie w stronę kawalerki. Fotograf poszedł za nim i wydawało mu się, że zaczyna rozumieć.

- Podczas gdy my tu jesteśmy zajęci rozmową...

Jeżeli Francis nie pracował, nie spał, jeżeli światło pozostawało zapalone tego wieczoru...

Gwałtownie zastukał do drzwi.

- Proszę otworzyć... Tu Maigret...

Narobił tyle hałasu, że jeden z sąsiadów pojawił się w drzwiach w pidżamie. Popatrzył ze zdziwieniem na obu mężczyzn.

- Co tu się znowu dzieje? Czy nie można pozwolić ludziom...

- Niech pan biegnie po dozorczynię... Niech pan ją spyta, czy ma klucz uniwersalny...

- Nie ma...

- Skąd pan wie?

- Gdyż ją o to pytałem tego wieczoru, kiedy zapomniałem klucza... Musiałem wzywać ślusarza...

Jak na człowieka, który odgrywa naiwnego, Huguet nie tracił zimnej krwi. Owinąwszy pięść chusteczką, uderzył mocno w matową szybę, która rozprysła się na kawałki.

- Trzeba działać szybko... - wysapał zaglądając do środka.

Teraz spojrział tam Maigret. Ricain, całkowicie ubrany, siedział w wannie, zbyt krótkiej, żeby mógł się wyciągnąć. Kran był odkręcony i różowa woda przelewała się na podłogę.

- Nie ma pan dużego śrubokręta, podnośnika, czegoś ciężkiego?

- W samochodzie... Proszę poczekać...

Sąsiad założył szlafrok i wyszedł z mieszkania ścigany pytaniami żony. Minął bramę i wkrótce dał się słyszeć odgłos otwieranego bagażnika.

Ponieważ na progu pojawiła się z kolei żona, Maigret rzucił w jej kierunku:

- Proszę zadzwonić do lekarza... Najbliższego...

- Co się dzieje... Nie dość, że...

Oddaliła się pomrukując, a tymczasem jej mąż powrócił z łyżką do opon. Był wyższy, bardziej barczysty i cięższy niż komisarz.

- Proszę pozwolić... Skoro nie muszę przejmować się szkodami...

Drewno najpierw opierało się, potem pękło. Jeszcze dwa uderzenia, niżej a potem wyżej, i drzwi nagle ustąpiły, a mężczyzna z trudem utrzymał się, żeby nie wpaść do środka.

Dalej wszystko działo się w wielkim zamieszaniu. Inni sąsiedzi usłyszeli hałas i w wąskim przedpokoju znalazło się wkrótce kilka osób. Maigret wy dostał Francisa z wanny i zaciągnął na tapczan. Przypomni ał sobie o komodzie i jej różnorodnej zawartości.

Znalazł tam sznurek. Posłużył mu za zaimprovizowaną opaskę uciskową. Ledwo skończył, a już odsunął go jakiś młody lekarz. Mieszkał w tej samej kamienicy i w pośpiechu wciągnął na siebie tylko spodnie.

- Od jak dawna?

- Przed chwilą go znaleziono...

- Niech pan zadzwoni po karetkę...

- Czy jest szansa, że...

- Tylko niech mi nikt, psiakrew, nie zadaje pytań!

Pięć minut później na podwórku zatrzymała się karetka. Maigret usiadł z przodu, obok kierowcy. W szpitalu musiał pozostać na korytarzu, podczas gdy lekarz przystąpił do transfuzji.

Zdziwił się, widząc Hugueta.

- Wyjdzie z tego?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Myśli pan, że naprawdę chciał popełnić samobójstwo?

Wyczuwało się, że w to wątpi. Maigret również. Osaczony Francis potrzebował teatralnego gestu.

- Jak pan sądzi, dlaczego to zrobił?

Komisarz źle zrozumiał sens tego pytania.

- Bo uważał się za zbyt inteligentnego...

Fotograf oczywiście nie zrozumiał i spojrzał na niego z pewnym zdumieniem.

Ale to nie o śmierci Sophie myślał Maigret w tej chwili, lecz o wydarzeniu o wiele mniej poważnym, ale może bardziej znaczącym, być może ważniejszym dla przyszłości Ricaina: o kradzieży swojego portfela.

IX

Spał aż do dziewiątej, ale nie mógł zjeść śniadania przy otwartym oknie, jak to sobie obiecał, ponieważ zaczął padać drobny i zimny deszczyk.

Przed pójściem do łazienki, w której ani matowa, ani zwykła szyba nie wychodziła na podwórko, zadzwonił do szpitala i miał niesłychane trudności z otrzymaniem połączenia z lekarzem dyżurnym.

- Ricain?... Co to takiego?... Nagły wypadek?... Mieliliśmy osiem nagłych wypadków tej nocy i gdybym musiał zapamiętywać wszystkie nazwiska... Dobrze... Transfuzja... Próba samobójstwa... Hm!... Gdyby arteria została przecięta, nie byłoby go tutaj albo leżałby w chłodzie w podziemiach... Ma się dobrze, tak... Nie otworzył ust... Nie... Ani słowa.... Przed jego drzwiami stoi gliniarz... Musi pan o tym wiedzieć...

O jedenastej Maigret był w swoim gabinecie. Bolały go znowu stopy, ponieważ zdecydował się włożyć nowe buty, które musiał przecież rozchodzić.

Siedząc naprzeciw Lapointe'a i Janvier'a ułożył odruchowo swoje fajki według wielkości, wybrał najdłuższą i nabił ją starannie.

- Jak już mówiłem wczoraj wieczorem fotografowi...

Obaj inspektorzy spojrzeli na siebie, zastanawiając się, o jakiego fotografa chodzi.

- Jak więc mówiłem, jest za inteligentny. To czasem równie groźne, jak bycie głupim. Inteligencja, nie oparta na pewnej sile charakteru. Nieważne! Czuję, co chcę powiedzieć, nawet jeżeli nie znajduję słów, żeby to wyrazić.

Zresztą to nie moja sprawa. Zajmą się tym lekarze i psychiatrzy.

Jestem też prawie pewien, że to idealista, niezdolny do życia zgodnie ze swoim ideałem. Rozumiecie?

Niezbyt dokładnie, być może. Rzadko kiedy Maigret był równie rozmowny, a jednocześnie równie bezładny.

- Chciał być człowiekiem nadzwyczajnym we wszystkim. Marzył, by osiągnąć bardzo szybko sukces, gdyż kipiał z niecierpliwości, ale chciał też pozostać czystym...

Zniechęcił się, ponieważ wypowiedane zdania pozostawały daleko z tyłu za myślą.

- To, co najlepsze i to, co najgorsze. Musiał nienawidzić Carusa, ponieważ go potrzebował. Jednakże przyjmował kolacje, które producent mu fundował, i nie wahał się go naciągać.

Wstydił się tego. Miał o to do siebie pretensję.

Nie był aż tak naiwny, by nie zdawać sobie sprawy, że Sophie nie była kobietą, którą chciał w niej widzieć. Ale jej także potrzebował. A nawet wykorzystywał w końcu jej związek z Carusem.

Nie będzie chciał się do tego przyznać. Nie może się do tego przyznać.

I dlatego właśnie strzelił do żony. Już wchodząc na podwórko, w środę wieczorem, kłócili się. Nieważne na jaki temat. Ona musiała być zmęczona patrzeniem na dwuznaczną rolę, jaką odgrywał, i zapewne rzuciła mu prawdę prosto w twarz.

Nie zdziwiłbym się, gdyby nazwała go alfonsem. Być może szuflada była uchylona. W każdym razie nie mógł zgodzić się na wysłuchiwanie takiej prawdy.

Strzelił. Potem pozostał na miejscu, przerażony zarówno tym, co zrobił, jak i konsekwencjami.

Od tej chwili, jestem o tym przekonany, zdecydował, że nie pozwoli się skazać i podczas gdy tak błądził ulicami, jego mózg zaczął pracować nad sporządzeniem skomplikowanego planu.

Rzeczywiście tak skomplikowanego, że niewiele brakowało, a by mu się udało.

Wraca do Vieux-Pressoir. Pyta o Carusa. Potrzebuje natychmiast dwóch tysięcy franków i wie, że Bob nie pożyczycy mu takiej sumy.

Wrzuca broń do Sekwany, aby zlikwidować w ten sposób odciski palców.

Pokazuje się wiele razy w Klubie Zero. „Carus ciągle nie przyszedł?” Pije, chodzi bez końca, wnosząc nieustannie poprawki do swojego planu.

To prawda, że nie ma dosyć pieniędzy, żeby uciec za granicę, ale nawet gdyby miał, na nic by mu się to zdało, ponieważ prędzej czy później zostałby wydany.

Musi wrócić więc na ulicę Świętego Karola, udać, że odkrył ciało, zaalarmować policję.

I wtedy właśnie zaczyna myśleć o mnie...

Odegra przede mną komedię, która nie przyszlaby do głowy normalnemu człowiekowi. Szczegóły łączą się ze sobą. Spaceruje oddają mu przysługę.

Czyha na mnie od świtu, przed drzwiami mojego domu. Jeżeli nie wsiądę do autobusu, będzie miał na pewno jakieś zapasowe rozwiązanie.

Kradnie mi portfel. Dzwoni do mnie, odgrywa komedię mającą odsunąć od niego podejrzenia.

I przesadza! W tym rzecz! Podaje mi jadłospis rzekomej kolacji Sophie w Vieux-Pressoir. Brakuje mu równowagi, zwykłego zdrowego rozsądku. Jest w stanie wymyślić dziwną historię i uczynić ją prawdopodobną, ale nie myśli o najprostszych i najbardziej codziennych szczegółach.

- Myśli pan, że stanie przed sądem przysięgłych, szefie? - spytał Lapointe.

- To będzie zależało od psychiatrów.

- A jaka byłaby pańska decyzja?

- Sąd przysięgłych.

A ponieważ obu współpracowników zdziwiła tak kategoryczna odpowiedź, niezbyt pasująca do tego, co wiedzieli o komisarzu, Maigret dorzucił:

- Byłby zbyt nieszczęśliwy, gdyby uznano go za szaleńca, a nawet tylko za częściowo

niepoczytalnego. Wobec ławy oskarżonych, przeciwnie, będzie mu zależało na odegraniu roli istoty wyjątkowej, kogoś w rodzaju bohatera.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się ze smutkiem, podszedł do okna i patrzył na padający deszcz.

Epalignes, 11 listopada 1966